Nr. 5. Poznań, niedziela 2-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTAŁNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

W sprawie Zachodnio-pruskich Towarzystw Ludowych.

Są kwestye w społeczeństwie naszem, które długo, bardzo długo gdzieś w głębiach nurtują i sieją niepokój, a których mimo to nikt po imieniu nie nazwie i na sekcyjnym nie położy stole. Nagle zjawia się jakiś drobny, lecz znamienny fakt i wyciska z piór dziennikarskich nieśmiałe słowo krytyki. Jeden wyraz rodzi drugi, z drugiego wyłania się trzeci i sprawa staje się głośną, elektryzującą kwestyą dnia. Takie są losy palącego zagadnienia: Duchowieństwo a życie narodowe?!

Od lat już wielu pytanie to piecze sumienia i mózgi, — od lat już wielu mówią o niem w prywatnych kółkach i koleżeńskich dyskusyach, — od lat już wielu kwestya ta stanowi na Szląsku żywioł fermentacyjny w życiu publicznem — u nas jednak w Poznańskiem i Prusach Zachodnich żaden organ — z wyjątkiem „Orędownika“ i „Przeglądu Poznańskiego“ — sprawy tej nie wytoczył i żadne zebranie polityczne na porządku dziennym jej nie postawiło. W najświeższym dopiero czasie wszystkie pisma zachodnio-pruskie zagrały na alarm, a zgromadzenie delegatów ruchu ludowego poddało ją głębokiej i wszechstronnej analizie. Zainteresowanie to zjawiło się niespodziewanie, a powód jest drobny i pozornie małoznaczący. Materyały eksplodujące przez długi czas drzemały spokojnie, nagle zjawia się maleńka iskierka, a iskra ta, gotująca wybuch, zrodziła się w Chmielnie. W małej tej wioszczynie zachodnio-pruskiej założono Towarzystwo ludowe i uszczęśliwiono je statutem zastrzegającym wyraźnie, że każdorazowy proboszcz piastuje godność prezesa nie z oboru lecz z urzędu. Wieść pojawiła się w pismach publicznych i oto w mgnieniu oka kwestya paląca, lecz duszona starannie w mgłach gęstych i mrokach, stanęła przed społeczeństwem w blaskach dnia białego, — z piętnem powagi na czole, z słowem „*Caveant consules*“ na ustach.

O rozwoju sprawy staraliśmy się już pośrednio informować czytelników naszych, cytując w „Przeglądach prasy polskiej“ głosy czasopism zachodnio-pruskich. I dzisiaj podajemy dłuższe ustępy z korespondencyi pewnego kapłana, gromiącej w słowach stanowczych i jasnych protest Gazety gdańskiej, grudziądzkiej i toruńskiej przeciw sklerykalizowaniu Towarzystwa ludowego w Chmielnie i rozszerzaniu podobnych prądów w innych towarzystwach zaboru pruskiego. Aby czytelnikom naszym ułatwić zoryentowanie się w sprawie tak poważnej, a niepokojącej szerokie koła społeczeństwa, powtarzamy tu raz jeszcze w dosłownem brzmieniu zasadnicze postulaty wyrażone w sensacyjnym artykule zachodnio-pruskiego kapłana, — postulaty skreślone wprawdzie przez jednostkę, lecz zawierające stempel programowy całego stronnictwa grupującego się około „Kuryera Poznańskiego“. Duchowny korespondent „Gazety Gdańskiej“ mówi:

1. „Li tylko polskie Towarzystwo, nie opierające się na zasadach katolickich, niema głębszej racyi bytu, boć przysłuży się co najwyżej do zachowania członkom pewnych dóbr doczesnych i to jeszcze wątpliwych w teraźniejszym naszym ucisku, a nie mając dostatecznych podwalin, chwiać się będzie pomiędzy internacyonałem a fanatyzmem narodowym.“

2. „Gdzie towarzystwo katolickie, tam koniecznie katolicki ksiądz należy i tam on ma z urzędu swego i z natury rzeczy *najpierwsze* miejsce, a nie jakieś tam podrzędne miejsce. Zboczenie od tej zasady tak koniecznie na bezdroża musi prowadzić jak się nie da pogodzić prawdy z fałszem“.

3. „Ksiądz jest *urodzonym prezesem* każdego Towarzystwa ludowego w swej parafii“.

4. „*Choćby i proboszcz był rzeczywistym germanizatorem, zasada pozostanie zasadą* i on jest urodzonym prezesem Towarzystwa katolickiego w swojej parafii“.

5. „Gdyby jakie Towarzystwo przy zachowaniu tej zasady rzeczywistą szkodę poniosło, *wolę raczej taką szkodę* jako mniejsze złe, aniżeliby przez zaniechanie tej zasady daleko więcej Towarzystw miało powoli wyzwolić się od księdza i kościoła...“

Tak mówi ksiądz-korespondent w „Gazecie Gdańskiej“, tak mówi całe stronnictwo, które w ubiegłym roku ogłosiło znany, w bizantyniźmie lojalnym skąpany artykuł na dzień urodzin cesarskich i które wyraźnie oświadczyło, że „czas już nareszcie pozbyć się zacietrzewienia narodowego i na wszystkie sprawy narodowe patrzeć *jedynie* przez pryzmat katolicki“. Z tego to źródła płynie również owa znamienna niechęć do ruchu górnoszląskiego, gdzie przepaść między ludem polskim a duchowieństwem germanizującem pogłębia się i rozszerza z dniem każdym, a walka staje się tak namiętną, że z kilku ambon kościelnych w niedziele i święta pada dziwne słowo: „Módlmy się, bracia w Chrystusie, o nawrócenie odstępców, służących Katolikowi, Nowinom Raciborskim i Gazecie Opolskiej.“

Z góry zastrzegamy, że stosunki zachodnio-pruskie nie są bynajmniej fotograficznem odbiciem górnoszląskiego rozdarcia, ale prądy germanizacyjne grasują i tam wśród duchowieństwa, grożąc coraz więcej potężną walką kościoła z narodem. Wobec tego niebezpieczeństwa trzeba z podwójną ostrożnością rozpatrywać stanowisko kleru do towarzystw naszych i żadną miarą zgodzić się nie można, aby z góry, bez względu na zapatrywania polityczne, każdemu proboszczowi i tylko proboszczowi przyznawać przewodnictwo w towarzystwach ludowych. Zresztą zapominać nie wolno, że prądem dominującym obecnie w sferach kościelnych tak w Zachodnich Prusach jak w Księstwie, jest spychanie patryotyzmu na plan dziesiąty i tendencya zastąpienia barwy narodowej barwą wyznaniową. Gdyby zatem nawet wyraźne dążenia germanizacyjne wśród duchowieństwa zachodnio-pruskiego nie istniały, to już sama obojętność dla spraw narodowych, — owa wyłączność klerykalna, starająca się ojczyznę kościołem zastąpić, — stanowi groźne niebezpieczeństwo i poważną przyczynę, dla której komendy nad ludem polskim powierzyć nie można bez zastrzeżeń w ręce duchowieństwa. Uznajemy w zupełności charakter katolicki Towarzystw naszych i przestrzeganie tego charakteru uważamy za postulat na wskroś naturalny i korzystny w warunkach bytu polskiego, — ale z wszelką stanowczością potępiamy te usiłowania, które dążą do zepchnięcia narodowości ze stanowiska *równorzędnego*. Dalecy jesteśmy od zaprzeczenia duchowieństwu praw obywatelskich w społeczeństwie naszem, — mniemamy przeci-

wnie, że przewodnictwo kapłanów w towarzystwach ludowych będzie w pewnych okolicznościach pożądanem i dodatniem, wskutek zasobów inteligencyi, sferze tej właściwych, — lecz nie możemy pod żadnym warunkiem zgodzić się na kategoryczne żądanie, by każdorazowy proboszcz nie z oboru lecz z urzędu odgrywał hegemoniczną rolę w towarzystwach swojej parafii. Jeżeli proboszcz zyska zaufanie parafian, — jeżeli przedstawiać będzie gwarancyę, że naród i wyznanie równą obdarza miłością, — jeżeli obce mu będą zakusy germanizacyjne i obcem lekceważenie dążeń narodowych, — jeżeli wreszcie nikt inny przedstawiający wyższe kwalifikacye hegemoniczne w parafii się nie znajdzie, — wtedy towarzystwa ludowe powołają niewątpliwie duszpasterza swego na urząd prezesa. Statut jednak ułożony w Chmielnie gwałci przekonania członków, ubezwładnia ich wobec możliwych a nawet prawdopodobnych zakusów germanizacyi i toruje drogę samowładztwu duchowieństwa w życiu publicznem, budzącemu dziś więcej niż kiedykolwiek poważne wątpliwości. My nie przeczymy, że kapłan *w rzeczach wiary* jest *„urodzonym przywódzcą ludu“*, — ale stanowiska tego przyznać mu nie możemy w życiu narodowem. Szląsk nas pouczył, do jakich nadużyć politycznych ów szeroki i elastyczny tytuł „urodzonych przywódzców“ prowadzi, i dla tego uważamy za obowiązek prasy narodowej postawić tu słupy graniczne i zakres przywództwa do odpowiednich zacieśnić rozmiarów.

Zasady skreślone powyżej spowodują niewątpliwie jedną z owych burz, strzelających gromami tendencyjnych fałszów, które już tylokrotnie nad głowami naszemi huczały. Walka z religią i kościołem! — oto stereotypowy frazes, którym pewne koterye starają się zmącić trzeźwość i ścisłość poglądów naszych na stanowisko duchowieństwa w życiu publicznem. Nie jest to brak inteligencyi, ktoremu zasada *„bene distinguere“* obcą pozostaje, nie jest to nieporozumienie snujące w dobrej wierze błędne zarzuty, lecz zła wola przekręcająca tendencyjnie twierdzenia nasze, aby kwestyę zakrzyczeć, nie mogąc jej poważną argumentacyą osłabić. To też gdybyśmy dzisiaj powtórzyli po tysiąc razy, że chodzi nam jedynie o sparaliżowanie tajnych i ukrytych dążeń, aby duchowieństwu, jako takiemu utorować drogę do hegemonii *w życiu politycznem*, że nie walka z religią i kościołem jest hasłem naszem programowem, lecz opozycya do kościelnych rozsadników germanizacyi lub obojętności narodowej, — że zdaniem naszem kościół i naród to dwie odmienne dziedziny, których interesy nie zawsze są identyczne, a często skłócone, — choćbyśmy to wszystko szeroko zapisali w łamach pisma naszego, przeciwnicy nasi nie porzucą taktyki swojej i wyśpiewają znowu dawne zarzuty i fałsze. Podstępny ten manewr jednak tylko do czasu liczyć może na powodzenie, — żywotność kwestyi silniejszą jest od sztuczek adwokackich i prędzej czy później zapuka tak głośno do bram społeczeństwa, że ono zbudzi się, w oczy jej spojrzy i bez względu na bajeczki klerykalizmu o wrogach religii i Boga samego — potężnym głosem „Gore!“ zawoła.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W głównym organie czeskich realistów, w pragskim „Czasie“ znajdujemy w numerze noworocznym artykuł pióra prof. Massaryka, w którym zasłużony wódz stronnictwa taki rozwija program polityczny:

„Przed dziesięciu laty całem stronnictwem naszem było kółko, składające się z niewielu osób, które się kupiło obok naukowego pisma „Atheneum“ i „Czasu“. Artykuły w pismach tych umieszczane czyściły naszą atmosferę tak bezwzględnie, że każdy nowy numer budził popłoch. Ruch rozpoczął szersze zataczać koła na czeskim uniwersytecie i na polu naukowem. W walce o słynny rękopis stanęły po dwóch przeciwnych sobie stronach, tu świat nowy, tam stary. Kładziemy na to wagę, że ruch nasz począł się w kołach naukowych. Zdaje nam się, że to był moment ważny, bo tam powaga starych miała najsilniejszą twierdzę Te właśnie autorytety wychowały kilka pokoleń; doszło u nas do tego, że w latach 1880 typ społeczeństwa naszego do tyla był skostniały, iż zdawało się niemożliwem doprowadzić go do poznania samego siebie.

Nie dziwiliśmy się wcale, że przeciw nowym ideom i krytyce naszej wystąpili starzy tak gwałtownie. Z tych wyżyn przeniosła się walka przeciw nam do nizin, gdzieśmy mieli wrogów fanatycznych, ale i to było objawem naturalnym. Walczyliśmy z młodo- i staroczeskiemi pismami, musieliśmy ciężką stoczyć walkę o zdobycie prawa wolności badania i oczyszczenia moralnego narodu. Prasa, prawie bez wyjątku, stała po stronie starszych. I dla tego właśnie, że się rzuciła w wir walki, wstrząsła całem naszem jestestwem. Odtąd rozpoczęła się walka na większą skalę, już nietylko o historyczne lub kulturne zagadnienia, lecz o politykę i socyalizm. Młodsi czuli, że dotychczasowe poglądy panujące nadal się utrzymać nie dają, że jednak swobodnemu rozwojowi idei przeszkadza teroryzm prasy. Nastąpiła u nas pewna organizacya, która zwartym szykiem stawiała czoło napaściom, wskazując na płytkość, bezmyślność i opaczność naszych przeciwników.

W roku 1890 stronnictwo nasze połączyło się na podstawie wspólnie ułożonego programu z stronnictwem młodoczeskiem. Pozostaliśmy zawsze atoli cierniem w oku dla tych Młodoczechów, co nie potrafią się wyzbyć dawnych przesądów i szablonów. Dziś realizm wchodzi w nową fazę rozwoju, nie utrzymywał się on bowiem w jednym kierunku, ale przystąpił do rozwiązania kwestyi czeskiej z punktu widzenia filozoficzne-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Przyszli także Łasiecki i Józef Raniecki; pierwszy jako reżyser amatorskiego przedstawienia, drugi jako przyszły mąż sceniczny Loli: Anulka i Smolarz dopełniali ensemblu w sztuce wybranej do grania.

Przed próbą śpiewał Dyniecki ładną piosnkę, przy wtorze kilku akordów fortepianowych. Każda zwrotka tej piosnki zaczynała się słowami:

Znam ja oczy takie czarne,
Zarzące jak skry...

Śpiewał bardzo ładnie, a przytem wznosił w górę czarne oczy, o których piosnka powiadała, że były „żarzące jak skry“, lub też zwracał je kolejno na Lolę i Anulkę, a czasem w swej łaskawości obdarzył przelotnem spojrzeniem także panią Marcysię.

Ponieważ wkrótce potem nadeszli goście Borajskiego, więc młodzież przeniosła się na próbę do jadalni, a towarzystwo — jak powiadał stary Raniecki — „ograniczonej kasy zaliczkowej w rękawiczkach“, zajęło pokój bawialny na swoje obrady.

Na posiedzenie przybyli początkowo tylko Szołomiejski, Szeląg i Wywrot, lecz później nadciągnął także Raniecki w towarzystwie Klepki. Szołomiejski, ujrzawszy we drzwiach grubą, czerwoną, opasłą twarz tego ostatniego, obruszył się w duchu, był bowiem pewnym, że Raniecki zwabił Klepkę dla tego, aby jemu Szołomiejskiemu, wyrządzić figla i poważne obrady przemienić w zabawkę. Ze zdaniem Klepki nikt się nie liczył. Był on dobrym i zabawnym towarzyszem przy stole u Bronarza, z którym można było jako tako obcować, ale przy poważnych naradach, głupkowaty a bezustanny śmiech jego, przeszkadzał tylko i po prostu zawadzał, a dzisiejsze posiedzenie, trzecie już z rzędu, wymagało pewnego skupienia myśli, przystępowano bowiem do układania statutu, którego naszkicowaniem zajął się był Szołomiejski i już wypracował ważniejsze ustępy.

Po oddaniu przewodnictwa Borajskiemu, wedle wszelkich form i zwyczajów, praktykowanych na posiedzeniach rady miejskiej, w której wszyscy nasi znajomi, z wyjątkiem Klepki, od dłuższego czasu zasiadali, Szołomiejski wydobył z kieszeni czarnego, długiego surduta zwitek potarganych papierków.

Raniecki umieścił się na przeciwko, w ten sposób, aby mu lampa nie zasłaniała oblicza referenta, posadził Klepkę przy sobie i czekał.

Zanim Szołomiejski rozpoczął czytanie, przemówił najpierw Szeląg, zwracając się głównie doRanieckiego:

— Moi panowie — nim zaczniemy obradować — muszę was poprosić o jedno: nie sprzeczajcie się, nie kłóćcie i nie mówcie przedtem, nim wam przewodniczący pozwoli, zachowując się zupełnie tak, jak na posiedzeniu w ratuszu. Porządek na świecie to ważna rzecz, bez porządku nic człowiek nie zrobi.

— Jeżeli o mnie myślicie, sąsiadeczku, to dalibóg ani pisnę, słowo uczciwości daję — zaręczał Raniecki — i skrzyżował ręce na znak, że w tej pozie przesiedzi cierpliwie całe posiedzenie.

Szołomiejski wytarł kolorową chustką okulary i przemówił:

— Ponieważ ja byłem pierwszym, który przedstawił projekt utworzenia w naszem mieście kasy zaliczkowej z ograniczoną poręką i ponieważ zgodziliśmy się na tę myśl wszyscy...

— Nie wszyscy, nie wszyscy — sprostował Raniecki półgłosem.

— Przepraszam. Było powiedziane na ostatniem posiedzeniu, że kto się zgadza, ten przyjdzie na dzisiejszą naradę. A pan tu jesteś.

— Ja jestem tu, to prawda panie dobrodziejaszku, lecz ja tu jestem poto, ażeby się zgodzić, alem się jeszcze nie zgodził.

Szołomiejski zwraca się do Borajskiego:

— Przepraszam, czy ja mam głos, czy pan Raniecki?

— Pan, pan.

Szeląg chwyta Ranieckego za rękę.

— Panie Raniecki — nie przeszkadzajże pan — obiecałeś przecie być cicho.

— Nie — ja nic!... — Ja przecież cicho siedzę.

go, badając wnętrze czeskiego ducha, starając się o to, aby każdemu Czechowi było zrozumiałem, czem właściwie naród kulturny żyje, czego chce i dokąd zmierza.

Krytykowano nas i odpędzano od patryotyzmu, żeśmy wytykali błędy naszego narodu; nie chciano tego zrozumieć, iż można widząc błędy swego narodu, naród jednakowoż kochać. Realizm chce być świadomie czeskim, szuka znamion czeskości gdzieindziej jeszcze, aniżeli w czamarze lub w czerwono-białej kokardzie."

* * *

Małoruski „Radykał“, wychodzący we Lwowie pisze w artykule „Zajawa hrupy mołodych Ukraincyw radykaływ“:

„Starych Ukraińców należy uważać za stronników reakcyi i serwilizmu, za partyę ugody z polskimi magnatami i klerykałami, którą dziś w Galicyi reprezentują Barwiński i Wachnianin. Jako antypody tej partyi ukazują się nieprzeliczone kadry ukraińskich radykałów, którzy znaleźli sposobność poza słupami granicznemi Rosyi, gdzie panuje bezprawie, wystąpić publicznie ze swym programem solidaryzującym się zupełnie z radykałami galicyjskimi.

Niestety ruch ukraiński nie może stać się siłą gromadną, dopóki w Rosyi wszystkim w skład jej wchodzącym narodom nie będzie dana wolność polityczna, której to wolności nie uzyskają Ukraińcy nigdy, jeżeli liczyć będą na wielkoduszność tyranów. W programie ich wypisany federalizm z przyznaniem zupełnego równouprawnienia wszystkim krajom i wszystkim narodowościom. Federalizm ten ma zapewnić nietylko wolność polityczną, ale i rozwój socyalny, ekonomiczny i kulturny.

Będąc federalistami i demokratami, ukraińscy radykali uznawają siebie narodowcami, którzy jako tacy chcą walczyć przeciw narodom przywłaszczającym sobie na Rusi panowanie, jak Rosyanom, Polakom, Niemcom i Madziarom.

Celem ukraińskich radykałów jest wywywalczenie ukraińskiemu narodowi miejsca obok innych europejskich narodów, jakie Ruś zajmowała do końca XVII wieku, dopóki rozbiór Rusi pomiędzy Polskę, Moskwę i Turcyę nie złamał jej siły, póki despotyczne państwo rosyjskie nie zniszczyło ukraińskich środowisk kulturnych..."

D. Kr.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie ruchu ludowego. Między „Orędownikiem“ z jednej strony, a „Gaz. Grudziądzką“ i „Gaz. Toruńską“ z drugiej, wszczęła się ostra polemika z tego powodu, że pierwszy zalecał rozszerzenie swego programu demokratycznego w Zachodnich Prusach. Z artykułów poświęconych tej sprawie w „Orędowniku“ cytujemy ustęp następujący:

„Ruch ludowy w Prusach Zachodnich możeby więcej zainteresował tamtejsze warstwy średnie, gdyby tamtejsze gazety nie drżały przed nim z przestrachu, nie plotły o nim dubów smalonych.

„Gazeta Grudziądzka“ krzyknęła aż: bo się utopię! „Gazeta Toruńska“ zaś orzekła tak samo, jak tamta, że sobie wyprasza ruchu ludowego poleconego przez „Oręd.“, a zasadzającego się na wywoływaniu walki klasowej i odsadzaniu szlachty i duchowieństwa.

Na to my środka nie mamy i nie myślimy go szukać, niech gazety zachodniopruskie wygadują na ruch ludowy w Wielkopolsce, co im się podoba i na „Oręd.“ też, ale niech przynajmniej same z sobą będą konsekwentne.

„Gaz. Tor.“ pisze, że w Prusach Zachodnich od lat 40 szlachta polska i księża opierają pracę narodową na ludzie, za kołnierz ciągną lud do komitetów wyborczych, wysłanoby nawet gospodarza lub rzemieślnika do Berlina na poselstwo, ale żaden nie chce i nie tak łatwo się znajdzie.

A czemuż przed 3 laty Centralny komitet wyborczy Prus Zachodnich stawił na kandydata do parlamentu obywatela, który w tym samym czasie dobijał i dobił handlu z Komisyą kolonizacyjną.

Wówczas „Gaz. Toruńska“ i „Gaz. Gdańska“ milczały, choć im „Orędownik“ wcześnie zwracał uwagę na to; przed ludem cała sromotę postępowania Centralnego komitetu wszystkie pisma ludowe z rozmysłem zakrywały; stał się skandal i Prusy Zach. pogodziły się z nim.

Nikt gazet zachodniopruskich nie ciągnie i nie myśli nawet ciągnąć za wielkopolskim ruchem ludowym, ale niech te gazety przynajmniej nie udają, że w Prusach Zachodnich ciągnie się lud za kołnierz — do życia politycznego.

Pod koniec zeszłego roku na okręg złotowski polecił wyborcom ks. dr. Wolszlegier — jako Centralny komitet — ks. Kackiego na kandydata. Jeden ksiądz poleca drugiego księdza. Czy w Prusach Zachodnich już nie ma świeckich!

Pokazuje się, że w Prusach Zach. nie potraficie ni gospodarza, ni rzemieślnika „chwycić za kołnierz“, pokazuje się, że w ogóle nie macie kogo wysyłać do Berlina i składacie sprawy narodowe polskie w ręce księży, zakrywając własną biedę nędzą narodową przed sobą, przed ludem i przed światem.

Nie potrzeba wszczynać walki ze szlachtą i księżmi, a jeszcze sprawy publiczne tak traktować, żeby się w ludzie samodzielność obywatelska podnosiła, a nie szła na marne, jak przy wyborach w Złotowskiem."

* * *

Kolonizacya i Bank Ziemski. Korespondent poznański „Słowa polskiego“ (Lwów) donosi w nr. 23:

Z wiarogodnych źródeł czerpię wiadomość, że w roku ubiegłym ofiarowano komisyi kol. 38 majątków polskich, lubo zarząd wziął stanowczy rozbrat z dawniejszą zasadą *coute que coute* i zaprzestał płacić za ziemię „po królewsku.“ Oczywiście z owych 38 ofert uwzględniono zaledwie maleńką cząstkę, bo komisya liczy się nietylko z właściwościami parcelacyjnemi kompleksów rolnych i z widokami skuszenia odpowiedniej liczby kolonistów niemieckich, lecz stara się o zaokrąglanie obszarów swoich i postępuje według ściśle obmyślanych planów geograficznych. Ztąd prezes instytucyi germanizacyjnej wskazuje nieraz rolnikom szukającym u niego pomocy mapy wiszące na ścianie i wznosząc ramionami, oświadcza: „Żałuję mocno, ale pański majątek leży po za linią.“ Oczywiście promienie kolonizacyjne szerzyć się będą i przedłużać coraz więcej, jeżeli w stosunkach agrarnych szybko nie nastąpi zmiana, lub polski ruch parcelacyjny energiczniejszem nie zagra życiem. W uznaniu rosnącego niebezpieczeństwa i gwałtownej potrzeby obrony, rozpisał Bank ziemski, — ów wał ochronny zbudowany przeciw natarciu stumiljonowego funduszu, — drugą emisyę akcyi w ogólnej sumie 800.000 marek (800 akcyj po 1.000 mr.). Minął już jednak czas wyznaczony, a subskrypcya wykazywała zaledwie 500 podpisów. Ogłoszono zatem nowy termin subskrypcyjny w celu uzupełnienia sumy preliminowanej i rozwinięto w różnych społeczeństwach energiczną agitacye, aby banku ziemskiego na powtórne nie narazić fiasco. Czy skutek pomyślny uwieńczy te gorączkowe zabiegi, przesądzać nie chcę, — z obowiązku dziennikarskiego zapisuję tu jednak pogłoskę, że hr. Zamojski z Zakopanego i hr. St. Żółtowski z Księstwa, obiecali wspólnemi siłami pokryć ewentualny niedobór. W naszych kołach ziemiańskich sprawa Banku ziemskiego budzi dotychczas pewną nieufność, a gdzieniegdzie spotyka się nawet

---

— A więc dobrze. Ponieważ zatem na utworzenie omawianego towarzystwa zgodziliśmy się wszyscy z wyjątkiem pana Ranieckiego, który przyszedł się zgodzić, zatem stawiam wniosek, abyśmy przystąpili do czytania statutu.

— Proszę o głos — woła Raniecki — i podnosi dwa palce do góry.

— Pan Raniecki ma głos,

— Mnie się zdaje, że wszystkie te statuty i pisaniny psu na buty się nie zdadzą, jeżeli nie będzie pieniędzy. Pierwsza rzecz to pieniądze. Skoro nie będziemy mieli pieniędzy, to statut myszy zgryzą, a kasa pożyczkowa weźmie w łeb, nim się jeszcze narodzi.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Klepka.

— Przepraszam, proszę o głos.

— Pan Szołomiejski ma głos.

— Z tego, co pan Raniecki powiedział, widać, że nic ma on najmniejszego wyobrażenia o rzeczy.

— Oho, ho! mam ja już zanadto dobre.

— Przepraszam. Jakie masz pan wyobrażenie, jeżeli pan nie wiesz, że...

— Panie Szołomiejski, nie odpowiadaj pan Ranieckiemu, ale czytaj swoje,

— Przepraszam — zaprzeczył Szołomiejski, wyciągając rękę ku Borajskiemu, patrząc jednak na Ranieckiego. — Muszę mu przecież wytłómaczyć, że wedle ustawy nie wolno dopóty zbierać podpisów na udziały, póki nie ma statutu i póki nie jest zatwierdzony przez władze rządowe.

— To — panie dobrodziejaszku — rozumie się samo od siebie.

— Dlaczegoż więc powiadasz pan, że statuta zdadzą się „psu na buty“? Zresztą, takie wyrażenia, jak. „psu na buty“, „myszy zgryzą“, „weźmie w łeb“ i tak dalej nie są wcale parlamentarne. Pan chyba nigdy nie czytałeś w gazetach sprawozdań z sejmu albo parlamentu. Tam za takie wyrażenia przywołują do porządku dziennego; pan chyba nigdy nie czytasz gazet?

— Ja gazet nie czytam, bo to psu na buty... przepraszam. Ale za to pan gazety wciąż czytasz, nietylko za siebie, ale i za mnie. Pan się ich uczysz nawet na pamięć.

— Ha, ha, ha — zahuczał znowu Klepka.

— Moi panowie!... ta jakieś licho — jęknął Szeląg — my dziś nie ruszymy z miejsca.

— Proszę panów o spokój — woła przewodniczący.

— A no, jeżeli tak, to ja już będę milczał — oświadcza Raniecki. Skrzyżował ponownie ręce na piersi i zwiesił głowę. Róbmy zatem te statuta, róbmy... hm, hm.

Nastaje chwilowy spokój. Szołomiejski zabiera głos:

— Otóż moi panowie, ja przyniosłem ze sobą kilka wypracowanych punktów. Możemy zastanowić się nad nimi i ogadać z grubsza. Teraz mamy różne zabawy domowe, schodzimy się często po domach prywatnych, więc można tego i owego zachęcić do przystąpienia na członka. Z wiosną będzie to już trudniej. Zatem moi panowie rozwija papiery — ja będę czytał punkt za punktem i będziemy radzić nad każdym z osobna. Gdy się nad każdym punktem zastanowimy i należycie porozumiemy, wtedy można głosować. Otoż zaczynam. Paragraf pierwszy. Tytuł: „Cel i zadanie rękodzielniczej kasy zaliczkowej z ograniczoną poręką.“

— Żebym do dyabła przynajmniej wiedział, co to jest ta ograniczona poręka — mruczy z cicha Raniecki.

— Zaraz to panu wytłomaczę — odpowiada nawiasem Szołomiejski i czyta dalej — „Celem i zadaniem rękodzielniczej kasy pożyczkowej z ograniczoną poręką jest udzielanie pożyczek członkom towarzystwa, zostającym w chwilowej potrzebie, na niewielkie procenta.“ To jest cel i zadanie. Sądzę, że tu nic dodać ani ująć się nie da, i że nad tym paragrafem zastanawiać się nie potrzeba. Czy się zatem panowie zgadzacie na paragraf pierwszy?

— Ja się zgadzam — mówi Borajski.

— I ja — powiada Wywrót.

— I ja dodaje Szeląg.

Klepka nie wiedząc co odpowiedzieć, patrzy wyczekująco na Ranieckiego. Ten jednak krzywi nosem.

— Ja nie zupełnie.

— Dla czego?

— Dla tego, bo mi się sam początek nie podoba. Choć pan mówisz, że tam już nic dodać ani ująć nie potrzeba, to ja przecie myślę, że tam trzeba coś ująć. Bo proszę was, moi kochani, wszystkim ludziom nie bardzo uczonym wiadomo, że „cel“ to tyle co „zadanie“, a „zadanie“ tyle co „cel.“ Tylko bardzo uczeni ludzie w okularach ja-

z wyraźną niechęcią. Zrozumiano tu, że instytucya parcelacyjna toruje drogę wielkiemu przewrotowi demokratycznemu, dokonywującemu się stopniowo w społeczeństwie poznańskiem, i w imię zagrożonych interesów stanowych spoglądano z ukosa na ruch drobnowłasnościowy. Misyę „ratunkową“ banku ziemskiego chciano zwrócić w kierunku ratowania zagrożonych latifundyów i żywiołu szlacheckiego, a w ratowaniu ziemi polskiej za pomocą żywiołu ludowego, upatrywano klin rozsadzający dotychczasowy ustrój społeczny i obalający trony warstwy uprzywilejowanej. Tem się tłomaczy, że w pierwszej emisyi z ogólnej liczby 1.200 akcyj, podpisało W. Ks. Poznańskie tylko 345, — reszty dostarczył zabór austryacki i rosyjski.

* * *

Wyznanie. W obronie zasady, że każdorazowym prezesem w zachodniopruskich towarzystwach ludowych winien być miejscowy proboszcz, nie z oboru lecz z urzędu, wystąpił jeden z kapłanów w Gazecie Gdańskiej (nr. 10) i takie charakterystyczne przy tej sposobności uczynił wyznanie:

„Towarzystwo ludowe dla nas powinno być katolicko polskie. Lecz gdzie Towarzystwo katolickie, tam koniecznie katolicki ksiądz należy, i tam on ma z urzędu swego i z natury rzeczy najpierwsze miejsce, a nie jakieś tam podrzędne miejsce. Zboczenie od tej zasady tak koniecznie na bezdroża musi prowadzić, jak się nie da pogodzić prawdę z fałszem. Ksiądz jest więc urodzonym prezesem każdego Towarzystwa ludowego w swej parafii. Lecz tu sęk. Będzie ksiądz germanizatorem, to oprzeć się mu nie można! Przesadne strachy. Katolicki ksiądz katolickie Towarzystwo tylko na katolickich zasadach prowadzić ma prawo. Katolicką zasadą jest, że język od Boga dany, a narodowość jako skarb święty do zachowania... Twierdzić o księdzu, że germanizuje, nie jest zatem niczem innem, jak postawić go zbrodniarzem przeciw Bogu i ludziom... ...W praktyce, mojem zdaniem, żaden ksiądz germanizator nie będzie się do polskiego Towarzystwa wścibiać(?) ale będzie od niego stronić, aby się nie narażać i na niepewne wawrzyny wystawiać. Gdyby atoli jakie Towarzystwo przy zachowaniu tej zasady rzeczywistą szkodę poniosło, wolę raczej taką szkodę jako mniejsze złe, aniżeli by przez zaniechanie tej zasady daleko więcej Towarzystw miało powoli wyzwolić się od księdza i kościoła. Wielu już dziś jest członków w Towarzystwach polskich, którzy księdza niechętnie u siebie widzą, od niego się wyemancypowali i nie chcieliby mu dać pierwszego miejsca. Przy poruszeniu tylu środków zepsucia co dziś, szczególnej czujności od księży się wymaga, aby utrzymać ducha katolickiego. Co do mnie, nie dałbym się od moich parafian wybierać, lecz usunąłbym się zupełnie od Towarzystwa ludowego, gdyby chciano mi kogo innego prezesem narzucić, urodzonym prezesem Towarzystwa katolickiego w mej parafii ja jestem. Zresztą Towarzystwu ludowemu najlepiej jest, gdy ksiądz się niem zajmuje i je prowadzi; nie cierpi ono wtenczas tak łatwo na suchoty.“

Sapienti sat.

* * *

Przedstawiciele ruchu ludowego w sejmie galicyjskim. W korespondencyi galicyjskiej warszawskiego „Głosu“ (nr. 4) czytamy:

„Ponieważ w stosunkach galicyjskich ruch ludowy jest objawem nowym, a wielce znamiennym i ważnym, poświęcę słów kilka przedstawicielom jego w sejmie. Nietylko zachowaniem się, ale i wyglądem zewnętrznym nie wyróżniają się jaskrawo w sali sejmowej. Jeden tylko poseł krakowski Wójcik w barwnej sukmanie, suto wyszywanej, zwraca na siebie oczy ciekawych. Na czele gromadki posłów ludowych stoi dr. Bernadzikowski, człowiek żywy i inteligentny, podobniejszy z wyglądu i zachowania się do młodych lekarzy prowincyonalnych w Królestwie, aniżeli do swych kolegów galicyjskich. Zastępcą jego jest Jakób Bojko, współpracownik pism ludowych, widocznie zdolny i ambitny, o czem świadczy sposób, w jaki się podpisuje: „z woli ludu poseł na sejm krajowy.“ Nawet przeciwnicy cenią inteligencyę niezwykłą tego ubogiego wieśniaka, niedawno np. pisał o nim bardzo pochlebnie korespondent lwowski „Słowa.“ Fakt ten zasługuje tem bardziej na zaznaczenie, że Bojko jest bodaj najskrajniejszym z posłów ludowych, a przynajmniej najwyraźniej przekonania swoje wygłasza. Bardzo dobre wrażenie sprawia poseł Styła charakterystyczną, wygoloną, czy też pozbawioną zarostu twarzą, z energicznie zaciśniętemi ustami, z wzrokiem poważnym i przenikliwym. Wydaje się on człowiekiem bardzo inteligentnym, chociaż może nie jest tak bystrym i wymownym, jak Bojko. Średniawski, młynarz z zawodu, zwiedził kawał świata, przez czas jakiś mieszkał nawet w gubernii Kijowskiej, z natury żywy i energiczny, wykazuje w rozmowie dużo zdrowego rozsądku, doświadczenia i znajomości stosunków nawet za granicami Galicyi. Typowym chłopem, dodać należy chłopem krakowskim, jest Franciszek Wójcik, który pomimo niezwykłej presyi władz rządowych na wyborców, wyrwał mandat poselski p. Paszkowskiemu. Młody blondyn, z zawadjacko podkręconym wąsikiem, ze spojrzeniem wesołem, czasem chytrem, a raczej filuternem, czasem wyzywającem, w białej z czerwonemi wyłogami, lub w krótkiej niebieskiej sukmanie, z kierezyą i pasem, gęsto kółkami obwieszonym, wygląda nie na poważnego gospodarza, ale na zuchowatego parobka, który bałamuci dziewuchy i rej wodzi na zabawach, na jednego z tych, który:

Czy to w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele, —
Nie dał bruździć nikomu,
Zawsze sam był na czele.

W sejmie przemawiał dotychczas w sprawach drobnych, spokojnie i gruntownie, ale zdaje mi się, że ze swoim temperamentem krakowskim nie utrzyma się w tej roli i narobi nieraz kłopotu większości szlacheckiej w sejmie. Ostatniego z tej grupy, posła Krempy, nie znam osobiście, nie widziałem go nawet z blizka.“

BADANIA NAUKOWE.

Nowy rodzaj promieni.

Wiele zainteresowania nietylko między kołami naukowemi, ale i śród szerszej publiczności wywołało najnowsze odkrycie prof. Röntgena z Würzburga. Powodem głównym do tego są zapewne różowe nadzieje co do praktycznego zużytkowania owego odkrycia. Ale, choćby te nadzieje zawieść miały, odkrycie Röntgena, już samo przez się, jako przyczynek do poznania nieznanego dotąd zjawiska w przyrodzie, ma swoje, i to niepomierne znaczenie dla nauki, jako takiej. Zwraca ono bowiem uwagę na nowy rodzaj promieni, odmienny od znanych dotąd promieni ciepła, światła, chemicznie działających i kathodowych. Röntgen sam nazywa w swojem tymczasowem ogłoszeniu promienie nowo odkryte promieniami X.; i my je więc tak odtąd zwać będziemy.

Doszedł on do odkrycia nowego zjawiska na podstawie doświadczenia przy przepuszczeniu prądu maszyny Ruhmkorff'a przez rurę ewakuowaną Hittorf'a. Ten sam skutek można osięgnąć przy użyciu stosownie ewakuowanego aparatu Lenarda'a lub Crookes'a itp. Mimo to, że Röntgen pokrył rurę

---

koś tego zrozumieć nie mogą. Po co tu pchać dwa grzyby w barszcz?

— Ha, ha, ha — huczy Klepka.

— Dla czegoż mówisz pan zaraz tak uszczypliwie? Nie możnaż tego powiedzieć spokojnie, z godnością? Otóż ja pana przekonam, że choć moja stylizacya brzmi dobitniej, to przecież nie dbam o drobnostki. Więc dla pańskiej przyjemności wyrzućmy „cel“ lub „zadanie.“ Wszystko jedno które. Powiedz pan zatem, które się panu słowo mniej podoba.

— Mnie się, panie, oba podobają.

— Dojdźże tu z nim do ładu.

— Moi panowie, nie sprzeczajcie się, nie odstępujcie od rzeczy.

— Boże, daj mi cierpliwości — powiada Szołomiejski, trzęsąc głową. — Więc dla świętego spokoju wykreślam słowo „zadanie.“ Zgadzasz się pan zatem, panie Raniecki?

— Dobrze, dobrze, zgadzam się, możesz pan nawet oba wykreślić, jeśli się p - nu podoba, tylko jedź pan dalej, aby nie mówiono, że ja przeszkadzam.

— A cóż w takim razie zostanie, jak oba wykreślę?

— Zostanie „ograniczona poręka,“

Szołomiejski rusza ramionami i nie zważając naRanieckiego, zwraca oczy na papier.

— Przystępujemy do paragrafu drugiego. Paragraf drugi. Tytuł: „Fundusze towarzystwa.“

— Których dotąd nie ma — robi nawiasową uwagę Raniecki.

— Nic nie szkodzi, ale będą w przyszłości. Otóż: „Fundusze kasy rękodzielniczej z ograniczoną poręką powstają przez... przez...

Szołomiejski nie mogąc odczytać słowa, wstaje i podchodzi do lampy.

— Oto! — woła jowialne Raniecki. — Sam napisał i teraz przeczytać nie może.

— Ha, ha, ha.

— Przepraszam — odpowiada Szołomiejski — mogę przeczytać, tylko ja jestem krótkowidzący.

— Rozumie się. Osobliwie na umyśle.

— Ha, ha, ha, ha!

— Czegoż się pan znowu tak dziwnie śmiejesz? — pyta Szołomiejski zwracając się do Klepki.

— Ha, ha, ha, ha! — brzmi odpowiedź Klepki.

Raniecki uderza go dłonią po plecach.

— A to bestya zabawna ze swoim śmiechem, niech go drzwi ścisną. — No odpowiadajże serdeńko, czego się tak śmiejesz, kiedy cię o to pan Szołomiejski pyta.

— Ha, ha, ha, ha...

Ostatni wybuch śmiechu Klepki, gwałtowniejszy i dłuższy od poprzednich, zniecierpliwił Szołomiejskiego do tego stopnia, że trzasnął papierami o stół i zawołał:

— Ni , moi panowie, zostawmy to na kiedyindziej, ja dalej czytać nie będę.

I nie pomogły żadne namowy i nalegania ze strony Szeląga i Wywrota. Szołomiejski zaciął się i czytać już nie chciał.

Borajski, pragnąc zażegnać nieporozumienie, poskoczył po puszkę z tytoniem i cygarami i jął traktować gości.

— Odpocznijmy trochę — rzekł — wypalmy po jednem cygarku, a może z dymem przyjdzie większa ochota do narady.

Gdy tak w bawialnym pokoju ważą się losy biednej kasy zaliczkowej, w jadalni ukończono właśnie próbę przedstawienia i zabawiono się pogadanką.

Pani Borajska przeprosiła przed chwilą gości i wyszła do kuchni ubierać półmiski. Lola wyczekując tej chwili niecierpliwie, mrugnęła na Anulkę znacząco. Ta też natychmiast poczęła opowiadać Józefowi i Łasieckiemu o sztucznym zamku, wynalezionym przez Franciszka i pod pozorem pokazania go, wyprowadziła ich do pokoju Smolarza.

Po drodze nakazywała bratu:

— Tylko Franuś nie mów jak się otwiera, pamiętaj!.. i pan, panie Łasiecki nic mów pan także nic, niech pan Józef sam otworzy. Założę się, że nie potrafi.

Wnet głosy ich przycichły w kurytarzu Lola została sama z Dynieckim.

Świadomość, że w ciągu kilku minut następnych sięgnie ręką do urny i wydostanie stamtąd gałkę czarną lub białą, która rostrzygnie o jej przyszłem szczęściu i życiu, onieśmieliła Lolę i napędziła jej falę krwi do twarzy. Skądinąd poczucie, że z obecnej chwili nie wolno uronić ani jednej sekundy, napawało ją dziką energią, nie liczącą się z żadnemi zaporami, druzgocącą nawet silny pancerz niewieściej skromności i wstydliwości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hittorf'a czarnym kartonem, przy każdym przepuszczeniu prądu znajdujący się w bliskości papier pociągnięty cyanirem z platyny i barium zajaśniał fluorescencyjnem światłem, a było obojętnem, czy papier ten zwrócił do aparatu pociągniętą, czy też odwrotną stroną. Równie przepuszczalnemi, jak ów karton, okazały się dla światła X inne dla znanych dotąd promieni nieprzepuszczalne ciała, tylko stopień tej przepuszczalności malał w miarę grubości pokładu ciała, tak samo i w miarę wzrastającej gęstości gatunkowej. I tak z czterech metali, aluminium, cynku, ołowiu i platynu, najwięcej oporu stawiała platyna, najmniej aluminium. Platyna była przepuszczalną tylko we formie bardzo cienkich blaszek. Stosunek przepuszczalności jednakże rósł nierównie szybciej od stosunku gęstości. Aluminium (gęstość 2.6) okazało się 200 razy, cynk (g. 7,1) 6, ołów (g. 11,3) trzy razy łatwiej przepuszczalnym od platyny (g. 21,5).

Jeśli się trzymało rękę między aparatem a czułym na promienie X papierem, okazała się i ona przejrzystą; można było tylko ujrzeć jej cień i śród zarysów mięsa i skóry ciemniejsze zarysy kości.

Przy różnych dalszych doświadczeniach okazały się i inne ciała czułemi na światło X, jak niektóre złączenia calcium, potem szkło uranowe, zwyczajne, kalkszpat, sól kamienna itd.

Nierównie ważnem było odkrycie, że się i suche fotograficzne płyty nadawały do odtworzenia owego światła. Wątpliwem jest tylko, czy te płyty regestrowały same promienie X, czy tylko ich fluorescencyę, którą powodowały w szkle lub w pokładzie żelatyny.

Czy i ile promienie X w sobie zawierają ciepła, o tem się Rontgen jeszcze nie przekonał. Dalej zdają się promienie owe nie podlegać łamaniu się ani refleksyi.

Ogół tych spostrzeżeń okazuje, że promienie X nie są identycznemi z dotąd znanemi promieniami barwnemi, ultra fioletowemi i ultraczerwonemi, a doświadczenie, że nie zmieniają kierunku pod działaniem magnetyzmu, dowodzi, że są czemś innem, jak promienie kathodowe Lenard'a.

Że jednakże stoją z promieniami świetlnemi jakby w pokrewieństwie, można wnosić z tworzenia cieniów, z fluorescencyi i z chemicznego działania. Jeśli dotąd znane promienie powstawały z transwersalnych poruszeń cząsteczek eteru, nowe zdają się według przypuszczeń Rontgena oparte na longitudynalnych poruszeniach.

Jak więc widzimy, odkrycie Rontgena jest niezwykle doniosłem, gdy tyle pytań porusza i takie szerokie pole badań otwiera. Co jednakże najwięcej zaciekawia mniej dbałych o naukę samą, jak o praktyczne ewentualne skutki jej, to doświadczenie, które okazuje, że i ciało ludzkie przepuszcza owe promienie, rzucając wedle gęstości gatunkowej pojedyńczych części odpowiednie cienie na czułą powierzchnię, — rysując na niej ich kontury.

I w głowach marzycieli zaczynają się snuć ponętne obrazy przyszłego rozwoju medycyny, gdzie na mocy owych promieni lekarz będzie mógł zobaczyć, co się dzieje we wnętrzu pacyenta, nie potrzebując się niczego już domyślać, nie potrzebując na wnioskach czasem wątpliwych stawiać trudnej diagnozy. Lecz nadzieje zbyt daleko prowadzone zawodzą.

Spojrzyjmy lepiej w przeszłość i zwróćmy nieco krytycznie uwagę na jedno zwłaszcza spostrzeżenie nowego odkrywcy. Z kilku przypadków wnioskuje, że oko ludzkie, a raczej siatkówka, nie jest czułą na promienie X, choć media oczne aż do niej są prawdopodobnie dla nich przepuszczalne. Lecz może nasz uczony tylko przypadkowo natrafił na same indywidua nieczułe wobec tego światła, może istnieją gdzie jakie osobniki, które widzą owe światło, i może one są identycznemi z ludźmi „sensytywnymi“ Reichenbacha!...

Tak postawił kwestyę dr. Henryk Kraft z Strassburga, a odpowiada na nią słusznem przypuszczeniem, że promienie, które dochodziły do ócz owych „sensytywnych“ ludzi, to promienie X. Rontgena. Reichenbach zauważył bowiem, że są ludzie, którzy w ciemnym pokoju, po przez płytę z koprowiny lub żelaza, włożoną w otwór szczelnie wypełniony, widzą, co się zewnątrz dzieje. Na subjektywnych więc danych oparł swoją naukę o nowem świetle, nowej sile, którą nazwał „o d'e m“ i stawił ją obok magnetyzmu, elektryczności, ciepła itd. Brakło mu objektywnego spektroskopu, płyty czułej pokrytej cyanirem z barium i platyny. Reichenbach umarł zapoznany i wyśmiany przez współczesnych, jak przez Dubois-Reimonda.

Rontgenowi więc prawdopodobnie udało się marzycielstwo Reichenbacha podeprzeć, jego marzenia wyświetlić. Reichenbach przeczuł na podstawie doświadczeń i rozumowań, co Rontgen wydrzeć umiał tajemniczości przyrody. I poprzednik i następca na równe zasługują uznanie i laury.

W.

* * *

Przypadek zrządził, że równocześnie prawie z wyżopisanem odkryciem, inny uczony, tym razem już nie Niemiec, dokonał innego, również w ścisłym związku z fotografją pozostającego.

Oddawna to znane, że portret mordercy w pewnych okolicznościach utrwala się w oku ofiary zabijanej, co pomagało czasem do wykrycia zbrodniarza. Z tej zasady wychodząc, fizyk angielski p. Ingle Roders posunął się o krok dalej i dowodzi, że oka ludzkiego można używać wprost jako aparatu fotograficznego. Roders opisuje swoje doświadczenia w następujący sposób: Wpatruję się np. w monetę jakąś, dobrze oświetloną, przez minutę, z postanowieniem utrwalenia jej obrazu na siatkówce oka. Następnie szybko zaciągam na okno żółtą firankę, usuwając prędko chemiczne działanie promieni białego światła, skierowuję oko na sam środek odpowiednio umieszczonej płyty fotograficznej i myśl mam skoncentrowaną na obrazie monety, odbitej w oku. Po 43 minutach klisza, poddana zwykłemu „wywołaniu“ za pomocą chemicznej kąpieli, okazuje wyraźne kontury monety, którą przedtem widziałem.

Podobne doświadczenia wykonywał Roders wobec świadków, powtarzając je z rozmaitemi przedmiotami. Gdy kliszę poddał tylko przez 20 minut działaniu wzroku, obraz wystąpił nieco zamglony, ale zawsze dość wyraźny, aby orzec stanowczo, że przedmiotem była np. marka pocztowa, książka i t. p. Jeżeli prawdziwość tych faktów okaże się niewątpliwą, będzie to dowodem, że chwilowe odbicie obrazu danego przedmiotu na siatkówce oka jest dość silne, aby wywołać wibracie świetlne, działające na teraźniejsze suche, nadzwyczaj czułe klisze.

Odkrycie p. Roders'a ochrzcono niewłaściwie mianem „psychofotografji“, jest to bowiem wynalazek czysto fizyczny, posiadający jak się zdaje, wszelkie warunki, aby w przyszłości nauce i praktycznej fotografji wielkie oddać usługi.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

VII.

Trubadurem być? u pańskich — u bankierskich [stawać bram?
W duszy, którą Bóg wykąpał w swych płomieniach, gasić wstyd
Za trzos złota? za kwiat róży z białej ręki strojnych [dam,
Od gorących łon odpięty? Za lokajów miękki byt?

Co? w pochlebstwa płynne rytmy krew serdeczną [zmieniać nam?
Łaskotliwe piać ballady? baczyć trwożnie, aby zgrzyt
Z rozstrojonych oburzeniem harf nie trysnął? aby kłam
Mógł zasypiać w ciepłych łożach, syt rozkoszy, chleba [syt?

Trubadurem być? wysławiać głębię życia, gdzie jest [cieśń
Zgniłych grobów? wielbić orły, gdzie się puszy wielki [paw?
U drzwi skarbców spustoszałych stawiać uczuć swoich [straż?

Nie! rozpusty nie podniesie ku miłości nasza pieśń!
Nie! bezprawiu nie da szali sprawiedliwych, boskich [praw!
Nie obłudy nie przystroi w szczerej wiary słodką twarz!

VIII.

Pieśni nasza! niespożyta, chociaż codzień w śmierci [toń
Spycha ciebie ród grabarzy, boś ich fałszom groźna [wciąż:
Wielorybem płyń po morzach, po rozłogach chartem [goń,
A sokołem po niebiosach, patrząc w słońce, mknij i krąż

A zaklęta w ludzką postać, przyłóż ucho — przyłóż [skroń
Do wnętrz ziemi wulkanicznych i gotowa bądź, jak [mąż,
Który nie chce przyjść za późno... Z wichurami ra- [zem dzwoń,
Łkania burzy, bicie gromów w jeden głośny akord [wiąż...

Przejdź pielgrzymem świat ten cały; w owych mro- [cznych izbach gość,
Gdzie nędzarze z nóg lecący mają jeszcze siły dość,
By o głodzie i o chłodzie błogosławić dziwnym snom,

Co im wróżą sytość, ciepło i szeroki świata smug...
A gdy losy cię zawiodą, pieśni, w złotych cielców dom,
Posadami jego wstrząśnij i spiesz dalej śród swych [dróg.

IX.

Cóż, że będzie ci złorzeczył zleniwiałych zwarty huf,
Gdy go z sytej zbudzisz ciszy, rzucisz kamień w jego [muł?
Cóż, że szczeknie po za tobą rozkiełzanych sfora psów,
Które w obróż pozłocistą wypasiony pan ich skuł?

Które z smyczy swojej puszcza, gdy wyprawić trzeba [łów
Na zwierzynę szlachetniejszą od tych wieszczów pła- [skich czół,
Od pismaków ciasnej piersi, lecz mającej dosyć tchów,
By bezcześcić ołtarz święty — za magnacki, hojny [stół?

Ty spiesz dalej, pieśni nowa — w ślad melodyi wła- [snych spiesz!
Tylko, gdy się zbyt rozjuszy bezkarnością śmiały

[zwierz
I twym śnieżnym płaszczem szarpnie, stań i okiem,
[gdzie się skrzą

Groźne ognie dni idących, napastliwych wrogów
[zmierz:
Nie potrzeba rąk podnosić, wołać jej: A milcz!
[A leż!
Stchórzy zgraja i z skowytem lizać będzie stopę twą.

X.

Pieśni nasza! smętno tobie i samotno? czujesz ból,
Że ukochan przez cię człowiek nie chce słuchać
[twoich grań?
Że ten świat, co od wielbiących twoją moc, jak
[pszczeli ul,
Tak się roił, dziś jest pusty? O nie zważaj pieśni
[nań!

Graj obłokom, lasom szumnym, trawom, zbożom na-
[szych pól;
Jak tęsknica, owinięta w pajęczyny wiewną tkań,
Tym rozdrożnym jęcz zaroślom, do spróchniałych
[wierzb się tul,
Zwierzaj żale swe ruczajom, na pradawnych kopcach
[stań.

Tam słuchaczy znajdziesz chętnych, tam serdeczną
[znajdziesz brać,
Która ciebie nie odepchnie: Jej, wzgardzona pieśni,
[graj,
Na przestworza bezgraniczne szlij swój głos, na ty-
[siąc staj...

Z niewidzialnych rajów przyjdą dusze piewców, dziś
[już snać
Zapomnianych, i z radością witać będą w dźwięku
[twym
Zmartwychwstanie swych nadziei, zapowitych w nowy
[rym.

XI.

Powiadają, że w nas nie ma tytanicznych owych
[tchnień,
Wstrząsających granitami; że po świecie ten nasz
[duch
Nieświadomy celów swoich, błądzi dzisiaj nikły cień,
Bohaterów, co w martwotę wprowadzali życia ruch.

Któż to mówi? Dąb zielony? Nie! odarty z liścia
[pień!
Robaczywy tłum, co w wrzaskach kankanowych stra-
[cił słuch
Na melodyę hymnów wiecznych. Tak, opasły charci
[leń,
W którym — patrzcie! — nie mózg ludzki, lecz
[zwierzęcy myśli brzuch.

Z ogniem świętym, tak jak dawniej, idzie przez świat
[śpiewny lud,
Tak, jak dawniej, w harfach swoich więzi krwawy
[błysk i grom,
Tylko — Zewsów nie spotyka. Od promiennych raju
[wrót

Nie odgania nas dziś anioł: w wieczystego szczęścia
[dom
Drogę dzisiaj nam zagradza ścierw, gnijących wstrę-
[tny wał —
Rzucać w niego piorun boży, dla potężnych stworzon
[skał?

XII.

Marny tłumie! zasłuchany w liczonego złota brzęk,
Nie podniesiesz się do wyżyn, gdzie z melodyą
[swoich harf
Druidyczny stanął szereg, niby żrzałych kłosów pęk,
Ciężkich ziarnem, promieniących od złocistych słońca
[barw.

Ty wiesz o tem, żeś jak nędzarz, mimo trzosów,
[mimo szarf,
Zawiązanych brylantami — wstydu cię ogarnie lęk,
Że nie wzbijesz się nad błoto, żeś jest na kształt
[owych larw,
Co nie mają lotnych skrzydeł, więc poniżasz piewczy
[dźwięk,
Rwący z sobą duchy w górę!.... Czarodziejski słodki
[ton
O rozświetli jutrzni nowych, o rzeźwości nowych ros
Dziś poniżasz, bo wiesz o tem, że w nich mroków
[twoich skon —
Ty wiesz o tem, marny tłumie, że zza tajnych ducha
[bram,
Jak z świątyni, i dziś jeszcze ten proroczy płynie
[głos,
Co Baalom koniec wróży, co roztrąca w pył ich kłam,

Jan Kasprowicz.

Z liryki nowoczesnej.

Marya Konopnicka: „Poezye“, serya czwarta. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

Na gęśli Konopnickiej ozwała się nowa struna, brzmiąca mistycznie. Ma zawsze poetka gorące serce dla niedoli prostaczków, dręczy ją zagadka, jaki los gotuje przyszłość rzeszom upośledzonych. Ale pierwszy raz na horyzoncie jej pieśni przepływają obłoki mistyczne, pierwszy raz mówi: „duch mój ptak Boży, co go Pan w czas ranny i w czas wiosenny wypuścił pod niebem... a zaś go lotów uczy i za skrzydła niemocne trzyma.“

A zaś go wiatru cichego powieniem
Na lasy niesie i pustych niw pola,
Gdzie ludzie chodzą w zadumie ze drżeniem
Gdzie płacze dola...

Podobny nastrój odzywa się w daleko bardziej tajemniczym wierszu: „który ma złoty klucz“, umieszczonym w cyklu „Z mojej biblii“, gdzie poetka wróży, że klucz ów otworzy wrota jutrzenki, puści światło „rzeszom nieodzianym żelazem i złotem, ale w lnach chodzących i zlanych potem“.

Jaśniej tłomaczy Konopnicka myśl swoją w następującym drobnym, ale głębokim ułamku:

Niechaj się ludy nie trwożą, nie smucą,
Że im proroka wielkiego nie stało,
Bo to, co małe ptaszęta im nucą,
Też jest tem słowem, co się zmieni w ciało.
I nie z dżdżem wielkim lecz z rosą to siemię
Pada, co chlebem ma nakarmić ziemię.

W wierszach tego cyklu słychać czasem huczenie gromu, co zetrze na proch „jesienne drzewo ludów“ — słychać wróżbę „gniewu barankowego“, co straszniejszy jest w sobie „niż ryk lwa, gdy puszczę przelata“. Proroczym tonem brzmi także trochę manierowany pod względem językowym fragment, w którym poetka głosi: „jeszcze odkładam“ mówić o tych rzeczach, o których „Pan prostym swoim sługom jawi, a dzień przychodzi, w którym orły rącze zawściąga skrzydła zbarczywszy im silne, a puszcza z gniazda pisklęta skowrończe“, które dźwięczą ludziom piosnkę złotą nowego żywota“. Złowrogą siłą i demonizmem tchnie wiersz: „Zachowaj słowo“, opiewający potęgę, która utrzymuje w naturze i życiu czynniki niszczące, mnoży krzywdy i niesprawiedliwości. Ciemny ten wiersz pociąga urokiem i powagą biblijną. Śliczne także są dwie strofy: „A ci co giną“, wróżące nowy rozkwit tym, co ulegli klęsce pogromu. Na całą tę wiązkę poezyi padają jakieś apokaliptyczne cienie. Odzywają się w nich jakoby dźwięki proroków starego zakonu, wiersz staje się szerokim i płynie melodyą natchnioną.

Ten jednak nowy w poezyach Konopnickiej pierwiastek nie stanowi ich górującej cechy. W fragmentach „Imaginy“, drukowanych w „Kraju“ poetka ukazała już zamiłowanie do lotów w obłoczne krainy, gdzie błąkają się tylko echa i melodye uczuć ludzkich zwolnionych i obranych ze swej ziemskiej krzykliwej szaty.

W „biblijnych“ poezyach myśl jej przesuwa się wśród mgieł proroczych. Jak Pythia nad pieczarą, tak samo poetka przy końcu wierszy objętych tytułem „Gea“ staje nad wodną otchłanią, a w jej szumach słyszy ogromne dźwięki symfonii życia. W ostatnim zwłaszcza wspaniałym sonecie poetka w huku wód słyszy wielkie imiona Prometeja, Gracha, Spartakusa, słyszy szum skrzydeł Lucifera, który „wali się światłem przez szczyty, nie dając zasnąć Jehowie, co chciałby uciszyć błękity“. Piękny ten obraz trąci symboliką palladystów, którzy w Luciferze widzą strąconą, ale dodatnią potęgę istnienia. Wieńczy on szereg wierszy natchnionych wspaniałym widokiem natury. Chwilami poetka uniesiona wrażeniem oddaje prześlicznie falowanie wód, maluje słowem kłębienie się i szum piany, ruch bryzgów i pereł wodnych, wrażenia jednak słuchowe biorą górę nad wzrokowemi, a w ślad za tem następuje skupienie myśli, która potrąca o szersze ideje. Jest to typowy rys indywidualności poetki, która w przeciwieństwie do impresyonizmu, nie ulega biernie nawet bardzo silnym wrażeniom, ale cofa się w głąb własnej duszy i słucha jej dośpiewów, wywołanych grą potęg przyrody.

Każde wrażenie świata zewnętrznego przesyca się u Konopnickiej uczuciem albo ideą. Uczucie to rzadko kiedy bywa indywidualnem, łączy się częściej z umiłowaniem rzeczy malarskich, idea zaś brata się zwykle ze sprawą postępowego ruchu wogóle. Poetka jednak daleką jest od radykalizmu. Żal jej naprzykład w prześlicznym wierszu „U starej tamy“ tych starców, którzy wysilają się naprózno, pracują w krwawym pocie, ciągną głazy i belki, aby wzmocnić tę tamę, którą wciąż burzy i podmywa rwąca fala. Obraz plastyczny doskonale tu wyraża bezsilność wstecznictwa, usiłującego powstrzymać nowe prądy, ale poetka nie głosi hymnów na cześć potęgi kruszącej dawne kształty życia, nie ma szyderstwa na te łyse głowy „trzęsące się nad otchłanią“. Udziela się czytelnikowi współczucie poetki do tych starców, którzy pracują ciężko, bezowocnie, lecz w dobrej wierze, nad utrzymaniem tamy według nich użytecznej. Podobną myśl zawiera w cyklu „Hellenica“ bardzo ładny wiersz „Augury“, będący wyrazem żalu nad potęgą upadłą. Na twarzach wieszczków, którzy musieli rzucić dawne świątynie i spotkali się wśród tułaczej wędrówki, poetka naprózno szuka znanego śmiechu, który był tryumfem panującego przesądu i pogardą dla ciemnoty motłochu. Nad świątyniami w Dodonie i Delfach burze się srożą, bezdomni, opuszczeni, ze znakami zgasłej potęgi na czołach, milcząco chwieją głowami, a łza po łzie spada wśród lic zoranych. Trzeba być poetą w każdym calu, aby mając takie ideały jak Konopnicka, okazać współczucie dla starych powag ustępujących z pola. Ludzkość (a przynajmniej część jej ruchliwsza pod względem intelektualnym) bywa niewdzięczną i plwa szyderczo na te pieśni, które ją w niemowlęctwie mlekiem tradycyi karmiły. Piękne to słowo poezyi, gdy wbrew temu, spogląda ze współczuciem na mądrość przeżytą, na powagę przebrzmiałą, na kapłanów bez świątyni.

Nie powinna ona być okrutną dla kształtów ginących, ale do twarzy jej, gdy z zapałem młodzieńczym broni kształtów nowych. Dla tego też najbardziej z całego zbioru pod względem myśli przemawia do mnie szeroki, bardzo piękny wiersz „Cytara Tymona“, tem więcej, że treść jego występuje jasno i plastycznie i działa mocą bezpośredniego wrażenia. Uznaję piękność a nawet racyę bytu poezyi obłocznej, marzycielskiej i pół-tajemniczej, w którą się trzeba wcielać ze skupieniem, ale najlepiej mi do duszy przemawia poezya jasna, narzucająca

treść głębszą we formie wyrazistej. Żałuję tylko, że w „Cytarze Tymona“ Konopnicka nie skupiła się bardziej. Wyrzuciłbym z niej kilka strof nastrojonych erudycyą, — ale druga połowa wiersza jest porywającą. Wspaniale przemawia Tymon, gdy lud miota kamienie na jego cytarę wzgardliwie zawieszoną na krzyżu z rozkazu efora spartańskiego, który chciał skazać na zagładę nowe narzędzie pieśni, odmienne od uświęconego tradycyą tetrachordu. Tymon przyniósł cytarę z Miletu, chciał ziomkom pokazać powaby pieśni swobodnej i lotnej nie nastrojonej na ton surowy. Broni on praw swobodnej pieśni:

Kto mi tajemnych duszy drgnień
Śmie liczbę trzymać w ręku?
Kto może wiedzieć ile tchnień
Ile mam w piersi jęku?....

Wiecież, jaki jest pęd i ruch
W nienarodzonej pieśni
I gdzie ją niesie skrzydłem duch
I jakie światy prześni?

I w przeczuciu wieszczem zapowiada:

Milion strun ózwie się z chat
Gdzie milczy dziś Helota,
I stanie Grecya, stanie świat
Jak jedna lutnia złota....

I wionie ziemią wielki mir
I zestrój i pogoda,
A ta największa będzie z lir,
Co strun duchowi doda!

Rozumie się, że helotyzm ten pojmować trzeba w znaczeniu wszechświatowem, tak samo jak głos Tymona wybiega daleko po za sferę pojęć oraz idei Helleńskich. Wobec tłumu posłusznego rozkazom efora brzmi ten głos nietylko protestem w imię niczem nieskrępowanej swobody ducha, ale także jest obroną nowych zdobyczy sztuki i cywilizacyi przeciw tyranizującej każdą śmiałą myśl miernoty tuzinkowej opinii.

Odnośnie do greckiego świata poetka w wierszu „Helios“ przedstawia helotyzm jako przyczynę dziejowej klęski. Gdy podniósł helota z ciemności „nagi spodlony grzbiet,“ na niebie greckim odbił się cień nędzarza, który się zmienił w olbrzyma i wtenczas gasnąć zaczęło życie w piersiach Hellady. Oczywiście treść tego wiersza mierzona miarą dziejowej krytyki, ostać się nie może, boć jeśli owym olbrzymem jest chrystyanizm, który do godności ludzkiej podniósł rzesze niewolnicze, to wiadomo, że Grecya klasyczna z wyczerpania sił przedtem jeszcze upadła. Pokrewną myśl zawiera wiersz: „Videntes stellam Magi“, w którym mieści się głęboka ironia i przestroga dla wielkich tego świata, co zapatrzeni w górne gwiazdy nie widzą, że za nimi tłum spragniony, głodny, nagi, płynie także ku nowym jutrzniom.

Jednem słowem ideał demokratyczny ukazuje się w poezyach Konopnickiej jako zapowiedź zgładzenia grzechu naszego czasu. Zstępuje chętnie poetka w te mroki i padoły, w których dola niewesoła snuje się biedakom. Bywa ona czasem „W piwnicznej izbie“ i słucha tam kaszlu biednego, miejskiego dziecka, któremu matka opowiada, jak to pięknie na wsi, jakie są tam cuda, pola, bory, strumienie, drzewa i zioła. Prześlicznem, pełnem rzewności i tęsknoty jest to pokazanie powabów przyrody wiejskiej, przez okienko sutereny puszczające małą wiązkę promieni światła do izby pełnej czarnego zmierzchu. Jeszcze silniej chwyta za serce przepojona smutkiem poezya „Z tamtego świata“, oddający w słowach piękny pomysł tryptyku Pruszyńskiego. Z mogiły wstaje widmo zmarłej dzieweczki, nawiedza w chacie mateczkę i wraca potem do zimnego łoża, płynąc w blasku księżycowym. Takie to piekne, takie rzewne, jakby łzami i krwią serca pisane. Ta matka biedna, której ciągle na oczach stoi ukochane dzieciątko, skarży się z taką przejmującą prawdą, a gdy sen ją zmorzył gorączkowy, rozmawia z widmem córuchny tak prawdziwie, tak szczerze, tak żałośnie, że dławi coś w gardle i wilgotnioje oko, gdy czytamy tę scenę. Oddawna nikt tak silnie w poezyi naszej nie zagrał na strunach zranionego serca.

Przejmującą skargę zawiera piękny wiersz „Jej pamięci“. w którym żałość po stracie ukochanej osoby rozpływa się w cichej zadumie nad koniecznością śmierci i siłą tryumfującej nad nią miłości. Z poezyi cmentarnych wyróżnia się także głębokością myśli „Na grobie rycerza“, który według wróżby miał się obudzić, gdy złota trąba oznajmi, że śmierć przestała ścinać ludzkie głowy. Rycerz czeka i stoi, chociaż rdza mu miecz zjadła, a pierś pęknięta proch sypie.

I słucha w dzień i słucha w noc,
Kamienne czoło wznosi —
A śmierć tuż przy nim chodzi wzdłuż
I kosi... kosi... kosi...

Ten rycerz jest wytrwałym jak upór człowieka we walce ze znikomością. Przechadzka po cmentarzu, widok opuszczonych grobów, tablic z szumnemi napisami, mogił mchem porosłych lub zapadłych w ziemię, przywodzi zawsze na myśl tę bezsilność naszą wobec śmierci, z którą duch ludzki zgodzić się nie może, wzdychając do nieśmiertelności zagrobowej.

Nie mogę się natomiast rozczulić razem z poetką nad mogiłą włochów „Pod Dogali“, bo chociaż po bohatersku tam zginęli, zawsze jednak — przepraszam za trywialne porównanie — leźli niepotrzebnie w abisyńskie korytko. Może te afrykańskie awantury są dla nich korzystne z politycznego punktu widzenia, lecz takich mogił poezya nasza kwieciem obrzucać nie powinna. Daleko milej wpada nam do ucha pieściwy i miękki wiersz: „Pieśń o domu“, albo też hołd oddany „Naszej Pani“ — oba dyszące ciepłem rodzimego uczucia. Nie może ono w całej pełni wybuchnąć, ale w tem skupieniu właśnie przenika do głębi duszy treścią, która się przelewa za słów krawędzie. Czujemy tu miłość, obejmującą bratnie rzesze, — tak samo jak w cudownym cyklu: „W zielone“ płynie wiosenna fala miłości erotycznej, której płomień gaśnie przy końcu wiersza za podmuchem śmierci. Uczucie nabiera tem większego wdzięku, że rozpływa się w tęsknocie, gdy przedmiot ukochania zniknął. Jak „Sielanka młodości“ Gaszyńskiego ten cudny wiersz zachowa zawsze aromat młodości.

Prostotą uczucia ujmują liryki: „Wstań dziecię“ i „Dziaduś“, a w „Nokturnie“ i „Preludyum“ ślicznie poetka tłomaczy poezyę uczuć subtelnych a nieokreślonych.

Z poezyi szerszego zakroju, godną uwagi jest „Po sześciu wiekach“, zwrócona do Beatryczy Danta, która nie jest bynajmniej ideałem dla poetki. Niebiańska oblubienica śpiewaka „Boskiej komedyi“ unosi się w atmosferze świetlanej, przyjmując hołdy od swego oblubieńca, z którym jednak nie zeszła w otchłanie cierpienia, nie zbratała się jak Francesca bólem serca. Myśl przewodnia mglisto tu migoce po za splotem świetnych obrazów i frazeologii wzorowanej na Słowackim. Można tu na podstawie antytezy domyślić się, że ideałem dzisiejszym dla poetki jest kobieta, która razem z mężczyzną dzieli trud i stawia czoło męce życia.

W wierszu „Poeta i demon“ czuć jakąś nieokreśloną narkozę — nieznane dotąd u Konopnickiej, upojenie swą namiętnością ponurą i marzeniem złowrogiem.

Obok tych wybitniejszych liryk w „Pieśniach bez echa“ w cyklach „Vivos voco — mortuos plango“ i „Z pola i lasu“ znajdujemy sporo poetycznego drobiazgu. Są tam akordy, marzenia, ułamki nastrojowe, echa sielskie, drgnienia uczuć osobistych. Wszystkie trzymane w tonie minorowym, mają wdzięk formy, płyną koło duszy lekko, jako fala mgieł sunąca się przez drzewa i krzewy na górskich grzbietach.

Nie wiem, dla czego w seryi tej nieznalazła miejsca fantazya dramatyczna Konopnickiej „Prometeusz i Syzyf“ drukowana w sierpniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej z 1892 roku, należąca do najgłębszych płodów poezyi ideowej. W dwu mistycznych postaciach poetka streściła tu przeciwieństwo „przepaści i szczytu“ ludzkiego bytu. Prometeusz uosobia wiekuiste dążenie do światła, do ideału, żądzę wydarcia tajemnic naturze bóstwa, Syzyf jest żywiołową potęgą mas pogrążonych w ciemnościach. Iskrę ognia zewsowego, daną mu przez Prometeusza, zamienia on na siłę niszczącą i zasługuje na klątwę. W szerokich zarysach dramatu symbolicznego, poetka przedstawiła tu możliwą klęskę cywilizacyi wskutek działania sił wywrotowych, które nurtują w masie ciemnych i upośledzonych. Utwór ten wspaniały stylem i pomysłem, nie wywołał u nas takiego zajęcia krytyki, na jakie zasługuje. Pisany jędrną prozą, mieści w sobie więcej poezyi i treści aniżeli całe tomy kwileń i majaczeń wieszczów *minorum gentium.* Konopnicka stanęła tu na takiej wyżynie, że prędzej czy później ujrzymy jej dzieło w rzędzie klejnotów literatury świata.

Mimochodem wspomnę także o „Panu Balcerze w Brazylii“ wielkim poemacie, którego dwie początkowe pieśni ukazały się także w zeszytach wrześniowym i grudniowym Biblioteki Warszawskiej z roku 1892. Szeroki styl epiczny, wspaniałe obrazowanie, forma oktawy rzeźbiona wytwornie, zapowiadają dzieło niezwykłej miary — dotąd jednak nieukończone.

Daleko więcej zyskaliby czytelnicy, znajdując w czwartej seryi „Syzyfa i Prometeusza“ niż zamieszczone przy końcu przekłady z Hammerlinga, Sully Prudhomme'a, Vrchlickiego, Swinburne'a i Wolffa. Konopnicka obie poezye tak przestraja w naszą szatę językową, że nie znać na niej nawet ani przeróbek. Myśl spaja się tu doskonale ze słowem i z wierszem, który płynie swobodnie i nie nosi na sobie ani śladu wymuszonej roboty. Szkoda jednak, że utwory wybrane do przekładu nie zawsze są godne mistrzowskiej ręki i bledną w obec klejnotów naszej liryki. Szkoda również, że niema pomiędzy niemi „Hanusi“ Hauptmana, której przekład należy do najcenniejszych arcydzieł tego działu literatury, potęgując przymioty oryginału.

W całości tej nowej seryi nigdy tendencya nie występuje w formie deklamacyjnej lub retorycznej — jak dawniej bywało. Myśl przewodnia łączy się z uczuciem albo obrazowością, forma staje się jeszcze bardziej płynną, język z wyjątkiem paru miejsc trącących manierą, mieni się mnóstwem barw, lecz główną jego cechę stanowi promieniowanie żywego czucia duszy, co mimo swych szerokich wzlotów jest zawsze na wskroś niewieścią. Konopnicka dała w tym zbiorze znowu parę drobnych arcydzieł, została wierną służbie ideału, nie hołdując mglistej estetyce symbolistów i nastrojowców, którzy chcieliby narzucić poezyi zasadę bezmyślności.

Józef Kotarbiński.

Fin de siècle.

(Teodor Jeske-Choiński. Rozkład w życiu i literaturze. Studyum. Warszawa 1893.)

(Dokończenie).

Nigdy inteligencya chrześciańsko-europejska nie była tak rozmiłowaną w filozofii, jak w wiekach średnich; nikt więcej od scholastów nie nadużywał rozumu do subtelnych rozróżnień i określeń, do wywodów i dysput sofistycznych: a jednak scholastyczne dociekania nie zrodziły niewiary, nie obaliły Boga i religii. Czy może rozum nie był wówczas tak potężnym jak za dni naszych? Nie — ale rozumowania scholastów nie wychodziły po za granice zakreślone dogmatem, miarkowane były silną wiarą we wszystko, czego uczył kościół i dla tego nie wydały nic godnego uwagi, ale też nie zniszczyły niczego. Bo nie rozum, nie filozofia podkopują wiarę wierzących, lecz głównie stosunki, wpływy zewnętrzne, fizyczne i moralne. One to rozluźniają obyczaje, wywołują obojętność dla spraw religijnych, jaką widzimy dziś gdzieniegdzie pomiędzy ludem, i powoli prowadzą wierzących do niewiary, a dopiero ci, których przestały zadawalniać prawdy religii, szukają nowego objawienia w rozumie swoim, uciekają się do filozofii.

Są to przeważnie stosunki ekonomiczne, polegające na nagłem zbogaceniu się społeczeństw, skupieniu kapitałów w rękach nielicznych i nierównym podziale zarobków. Pierwszym ich skutkiem jest rozluźnienie obyczajów w domach posiadających przepych zewnętrzny, rozwój sztuki i oświaty; dalej idzie zawiść stanów pracujących za lichem wynagrodzeniem w pocie czoła na zbytki bogatych, gonitwa za zyskiem jak największym, rywalizacya dorobkiewiczów w przepychu i używaniu i naśladowanie zamożnych przez klasy ubogie. W takich warunkach, w gonitwie za złotem i rozkoszą, w zazdrości wzajemnej, w obawie o swe mienie, wzrastać musi ogólne niezadowolenie i niepokój; wiara zanika nieznacznie, religia staje się czczą formalnością u ludu, inteligencya zastępuje powstałą próżnię własnemi teoryami, a jednostki, nie zadowolone nieznośnym stanem rzeczy i błąkaniem się wśród ciemności, popadają w usposobienie, które robi z nich dekadentów, mistyków lub anarchistów.

Tak jest dziś, tak bywało i dawniej. Nie przypadkiem nastąpił rozkład moralny i fizyczny w społeczeństwie ateńskiem właśnie po wojnach perskich, kiedy najezdcy milionowe skarby pozostawili w rękach zwycięzkiej Hellady, kiedy Ateny stały się głową bogatych wysp jońskiego morza. Nie przypadkiem przestał Rzym wierzyć w bogi swoje po wojnach punickich, a zapomniał o swej przeszłości, cnotach swych i obowiązkach, wydał Cezarów, libertynów i próżniacze tłumy, kiedy zagarnął bogactwa całego świata. Nie przypadkiem też wiek XIX jest wiekiem rozkładu społeczeństwa chrześciańskiego. Poprzedził go niezwykły rozwój techniki, który pozwolił milionom spłynąć do rąk niewielu i miliony stworzył wydziedziczonych. Paryż o wiek cały wyprzedził resztę Europy, tworząc w wielkiej rewolucyi na ruinach starych domów magnackich legion zbogaconego proletaryatu — burżuazyę. To też stolica Francuzów jest głównem ogniskiem rozkładu, właściwą ojczyzną prądów cechujących niezdrowe nasze stosunki etyczne.

Patrząc na analogię zachodzącą pomiędzy czasami walącego się Rzymu cezarów, a końcem XIX wieku, zdaje się Jeske-Choiński obawiać, aby społeczeństwa chrześciańsko-europejskiego nie spotkał los podobny, jak Rzymian, aby nie rozprzęgło się się zupełnie i nie upadło wraz z swoją kulturą, i nawołuje do upamiętania. Jest to tak samo bezowocnem, jak gdyby pożar chciał gasić słowami. Wszystko wskazuje na to, że mamy przed sobą zjawisko, nie wywołane nieoględnem postępowaniem i winą ludzi, lecz wypływające z natury ludzkości. Tą samą drogą, co społeczeństwa nasze przeszły i do tego samego rezultatu doszły — jak wykazał profesor Paulsen*) — wszystkie znane nam społeczeństwa kulturne: grecko-rzymskie, a przed niem jeszcze indyjskie. Analogia ta każe się domyślać, że dla każdego społeczeństwa kulturnego istnieje granica postępu, po za którą rozpoczyna się rozprzężenie; że umysł ludzki w obrębie pewnych epok ma zakreśloną przez naturę drogę rozwoju, którą postępuje po wszystkie czasy, a gdy stanie u jej kresu, przetrawi, zbada i odrzuci wszystkie zasady i tradycye, w których wychowały się pokolenia, popada w zwątpienie i nierząd.

Społeczeństwo nasze doszło — jak się zdaje — do tego fatalnego kresu, i owo znane francuzkie „fin de siècle“ jest więcej, niż pustym frazesem. Żyjemy rzeczywiście na schyłku wieku, na wyżynach naszej cywilizacyi, i zaczyna się dla nas epoka rozkładu. Ale rozkład naszej kultury nie jest jeszcze rozkładem ludzkości. Jeżeli z kultury indyjskiej, kiedy się przeżyła, wyłoniła się na innem miejscu *doskonalsza* kultura grecka, przyjęta później przez Rzym zaborczy; jeżeli na ruinach oświaty grecko-rzymskiej zakwitła znów *doskonalsza* kultura chrześciańska: któż powie, czy w chwili, kiedy nasz świat się rozprzęże, nie wyrośnie na jego zwaliskach świat nowy, znowu doskonalszy — i tak w nieskończoność.

Jest to tylko hypoteza, ale hypoteza jedyna, która jasno tłomaczy zjawiska dni naszych, i wysnuta jest nie z fantazyi, lecz z całych po za nami leżących dziejów ludzkości. A jeżeli jest prawdziwą, jeżeli niezdrowe stosunki etyczne i socyalne nowożytnego społeczeństwa są koniecznością dziejową, a równocześnie zapowiedzią nowego studyum rozwoju ludzkości, wtenczas i pan Jeske-Choiński będzie musiał pogodzić się z losem, który rzucił go między dekadentów i symbolistów i kazał mu żyć w czasie, kiedy panuje rozkład w życiu i literaturze.

Ż. Oleski.

*) Ciekawych szczegółów uzasadnienia tej mało znanej teoryi odsyłamy do „Etyki“ prof. Paulsena i studyum A. R. Czechowskiego p. t. „Mesyanizm w najnowszej formie“. Ateneum 1893. Wrzesień.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, 29 stycznia.

(Słówko o jubileuszu cesarstwa. Wspomnienie o Brausewetterze. Wyzysk szwaczek.)

Po wartkiej fali społecznego życia szybko stoczyły się do mety uroczystości patryotyczno-urzędowe. Jakkolwiek świątynie Bachusa i Gambrinusa upiększone girlandami i biustami bohaterów wojny zapraszały jeszcze długo do czczenia wypadków 1871 r. libacyami i mówkami, jakkolwiek patryotyczne marsze i pieśni nie schodzą wciąż z programu przybytków muzyki a zapomniana tu i owdzie trójkolorowa chorągiew zwiesza się z dachu domów, powszedni wygląd miasta i nastrój wytrzeźwionej prasy niczem nie zdradza, iż kilkanaście dni temu cesarstwo niemieckie obchodziło 25-letni jubileusz swego istnienia. W sam dzień uroczystości Berlin różnił się niewiele od innych dni powszednich. Uboższa ludność zaprzągnięta do jarzma codziennej pracy, zupełnie obojętnie traktowała ten fakt pierwszorzędnego znaczenia politycznego w życiu Niemiec. Dla postępowców jubileusz był gorzką pigułką. Do pięknych reminiscencyj łączyło się uczucie smutku, iż naród niemiecki posiada tak krótką historyczną pamięć. Zapomniano, iż postępowa masa niemieckiego narodu głównie przyczyniła się do urzeczywistnienia zjednoczenia Niemiec; które było jej marzeniem od dawien dawna. Albowiem już w 48 reku demokraci nie taili swych aspiracyj, którym opierał się dwór pruski uważając, iż korona ulana w ogniu rewolucyi trąci zbytnio zapachem demokratyzmu. W 1871 r. liberałowie Reichstagu pierwsi zaprojektowali włożenie na głowę Wilhelma korony niemieckiej, a wojskowi i dworska szlachta w Versalu przyjęli kpinkami posłów niemieckiego narodu. Dziś zaś konserwatywna prasa obwieszcza światu przez swe fanfary, że krwią niebieską, krwią junkrów i szlachty pruskiej spojono koronę niemiecką.

Nim zamilkły echa spóźnionych toastów i hymnów, rozeszła się wieść o śmierci smutnej pamięci Brausewettera. Nieboszczyk był dyrektorem sądu okręgowego i półtora roku temu zyskał sobie na godną zazdrości popularność przez swe zachowywanie się w procesie kilku redaktorów, oskarżonych o zamieszczanie sprawozdań, uwłaczających honorowi policyi. Prasa jednomyślnie zawyrokowała. iż prezydujący nie umiał zachować bezstronności i stoickiego spokoju, niezdatnych dla piastujących tego rodzaju stanowiska. Pan dyrektor wyraził się w sposób obelżywy o prasie i jej przedstawicielach, a nawet posunął się do tego, iż zaprzeczył istnieniu jawności postępowania sądowego w Niemczech. Umarł jednak rozgrzeszony z wszystkich występków i nie żegnany wyrazami nienawiści i złości. Piękną swą śmierć zawdzięcza temu, iż zmarł na wycieńczenie nerwowe, spowodowane obłędem, którego symptomaty jak należy przypuszczać wystąpiły jeszcze przed owym sławetnym procesem. Prasa i opinia publiczna przebaczając niepoczytalnemu sędziemu jego wybryki i nieprzyzwoitości, podniosła kwestyę, czy nie należy odmówić prawomocności wyrokom, zapadłym w procesach, którym przewodniczył. Zgryzienie tego kwaśnego orzechu pozostawiła opinia publiczna prawnikom, zaalarmowana wkrótce innemi kwestyami ogólniejszej natury, a mianowicie sprawą pracownic konfekcyjnego przemysłu. Wyraz „Confektioneuse“ musi się odbić o uszy każdego, kto zatrzymał się w Berlinie, chociażby na kilka tygodni. Termin ten pojmowany ściślej oznacza pannę, najętą w magazynie do przymierzania na własnej figurze sukien i ubiorów damskich, zastępującą więc miejsce manekinu. Przez „Confektioneuse“ w obszerniejszem znaczeniu rozumieją tu zwykle to, co u nas nazywają szwaczką. Termin ten otrzymał jednak pewną domieszkę etyczno-społeczną. Dziewczyny te podlegają najokropniejszemu wyzyskowi, są opłacane nadzwyczaj marnie i zmuszane do pracy nadmiernie długiej, nieraz, jak wykazano niedawno, do 20 godzin (!) na dobę; nic więc dziwnego, iż z tej warstwy przeważnie rekrutują się „kapłanki wolnej miłości“ w Berlinie. Fala zepsucia rozlewa się co wieczór z Rosenthalerstrasse i innych siedlisk konfekcyjnego handlu i przemysłu po całym Berlinie, zalewa wszystkie miejsca schadzek, cukiernie i knajpy, pokoiki studentów i kabinety podtatusiałych paterfamiliasów. Te nieszczęśliwe istoty oddające się uciechom miłości bądź z rozpaczy, bądź ze zdziczenia moral-

nego, bądź dla zarobku, zatruwają miazmatami depprawacyi stosunki rodzinne, podkopane aż zanadto przez warunki nowoczesnego życia. Szwaczki te pracują w przemyśle, charakteryzowanym przez system t. zw. potowy (sweating-system). Produktów swoich nie dostarczają bezpośrednio fabrykantowi: robota ich musi przejść przez ręce majstra — pośrednika, chowającego do kieszeni lwią część sumy otrzymywanej od „konfekcyonera“ a marne okruszyny przypadają w udziale ofierze wyzysku. Komisye wyznaczone z ramienia rządu oświadczyły się stanowczo przeciwko temu systemowi. Prawodawstwo jest dotychczas bezsilnem wobec nadużyć tego przemysłu, który nie jest skoncentrowanym w większych zakładach, lecz rozproszonym po mieszkaniach majstrów. W tych lupanarach wyzysku, pełnych dymu, zaduchu i wyziewów, w tych warsztatach mieszczących zarazem sypialnię i jadalnię, spędza szwaczka większą część swej młodości nad pracą, która wycieńcza organizm i wysysa z niego wszystkie soki żywotne.

Głęboki smutek wyśpiewany przez Thomasa Hood'a w jego pięknej „Pieśni o koszuli“ stosuje się w zupełności i do szwaczki berlińskiej z tą jednak różnicą, że skoro chlebodawcy spostrzegą, iż kobieta może zarabiać sobie pobocznie na chleb, dzięki fizyologicznym właściwościom swego organizmu, obniżają jej płacę. Gdy zaś wyzyskiwana uskarza się na krzywdę jej wyrządzaną, chlebodawca, jak to kilkakrotnie stwierdziła prasa, nie omieszka jej przypomnieć iż od 8ej lub 9ej jest wolną i rozporządza nieograniczenie swoją osobą: może więc z sobą zabierać jeszcze robotę, by ślęczyć nad nią do późnej nocy, lub... szukać zarobku w intratnym „stosunku“. W przeszłym roku odbył się w Berlinie zjazd krawców i szwaczek, na którym postawiono cały szereg żądań: właściwi producenci mają zaprowadzić warsztaty przeznaczone specyalnie dla pracy; tylko w takim wypadku konfekcyjny przemysł będzie zmuszonym poddać się przepisom ustawy przemysłowej i będzie podlegał kontroli inspekcyi fabrycznej; z konieczności rzeczy zmiana ta musi sprowadzić większe uwzględnienie hygieny w warsztatach, przestrzeganie przepisu o długości dnia roboczego dla kobiet itp.; za podstawę wynajmu pracownicy powinna służyć stała taryfa. Z innych punktów podkreślę tu tylko żądanie, by chlebodawcy zachowywali się „po ludzku“ względem najmitek, by nie używali obelżywych wyrazów, wzmacniając je odpowiedniemi czynami. Gdyby nie czarne na białem, możnaby istotnie przypuszczać, iż przemawia w danym razie potwarz. Czyż sto lat temu nie proklamowano równości i braterstwa, czyż nie przysięgamy od stu lat na ideały etyki i humanitarności, czyż nie stoczono walk o godność istoty ludzkiej? Czyż biedna kobieta musi uginać się pod ciężarem podwójnego niewolnictwa, podwójnego upokorzenia? Rok pozostawiono przemysłowcom do namysłu.

Przed upływem ostatecznego terminu zwołano w przeszłym tygodniu 6 zebrań, na których roztrząsano sprawę najemników konfekcyjnego przemysłu. Jak donoszą pisma, gdy referent na jednem z nich zaczął dowodzić, iż opłakane stosunki zarobkowe prowadzą do przepaści prostytucyi, w sali rozległy się szlochania nieszczęśliwych kobiet. Szczere uznanie należy się tym, co otwarcie poruszają tego rodzaju dolegliwości etyczno-społeczne, bo plasterkami konwencyonalnego kłamstwa jeszcze nikt nie wyleczył ani jednej rany, ropiącej się na organizmie ludzkości. Zebrani wyrazili powtórnie swą aprobatę dla decyzyi przeszłorocznego zjazdu. Chlebodawcy dotychczas umywając swe ręce, całą winę zwalają na majstrów i nie zrobili oczywiście ani jednego kroku dla usunięcia nadużyć, przeciwko którym oburza się opinia publiczna. W tych dniach zwołano zebranie majstrów i oznajmiono im wspomnianą rezolucyą, prosząc, by przez ustępstwa zapobiegli bezrobociu. Jako piękny fakt z tego zebrania wspomnę o wystąpieniu pani Kühne, która w przeszłym roku wprowadziła wzachwyt chrześciańskich społeczników swem zjawieniem się na ich kongresie i wygłoszoną tam mową. Pani Kühne przemówiła w imieniu dam z tak zwanej lepszej sfery i ostrzegała opornych majstrów, iż opinia pięknej połowy kupującej publiczności stoi po stronie wyzyskiwanych ofiar: gdy te wypowiadzą otwartą walkę, ich bogatsze siostry po płci wesprą je wszelkiemi możliwemi środkami. Należy się spodziewać, iż walka jest nieuniknioną. Z zachowania się prasy trzeba wnioskować, iż opinia publiczna złoży hołd elementarnemu uczuciu altruizmu i zaofiaruje swą pomoc męczennicom konfekcyjnego przemysłu.

M.

Kronika Wiedeńska.

23. stycznia 1896.

Jeszcze o emigracyi do Brazylii. — List p. Tokarskiego. — Dymisya hr. Thuna. — Nowi Ministrowie. — Reforma wyborcza. —

Wycieczka posła Rutowskiego przeciwko Towarzystwu śgo. Rafała i emigracyi galicyjskich włościan, nietylko jej nie powstrzymała, ale całą dolę emigrujących pogorszyła. Pan Rutowski mówił w Kole polskiem co innego, a co innego pisał w artykule I. o emigracyi w „Przełomie“ a znowu co innego w II., w którym zupełnie arenę ubliżających podejrzywań opuścił. Narobił jednak wiele złego, — tego dziś już zaprzeczyć nie można, a przyszłość tem jaśniejszemi stwierdzi dowodami. A teraz siedzi się cicho i wyczekuje, co dalej będzie, tymczasem chłop jak jechał, tak jedzie, uciekając przed głodową śmiercią, od której go w Galicyi p. Rutowski e tutti quanti wcale ratować nie myślą. Sty. Rafał nie pomaga już emigracyi więc ajenci w biały dzień obdzierają „galicyjskie bydlęta.“

Boć chłopi, którzy to w Tarnopolu się przed pociąg rzucili, kiedy ich policya puścić do Wiednia nie chciała, byli to „poddani“ dóbr Skałackich hr. Gołuchowskiego, obecnego ministra spraw zewnętrznych. Dobrze im się tam chyba nie dzieje. Ci chłopi, w liczbie przeszło 400, przyjechali w końcu do Wiednia. Każdy z nich miał pieniądze na drogę od 150 do 1000 guldenów. W Wiedniu nie chciano ich wziąć do pociągu na „Südbahn,“ ponieważ rząd włoski wzbrania się przetrzymywać ich w Udine albo Genui aż do odejścia okrętów. Choroby między niemi grasują i nikt, ale to literalnie nikt, prócz ajenta-hyeny ich nie prowadzi. Tymczasem włoską emigracyę proteguje sam rząd i daje każdej partyi przewodnika. Podnieść tu muszę działanie urzędnika kolei południowej p. Kłoskowskiego, który, jako naczelnik stacyi starał się, aby mu przydzielono służbę przy wysyłaniu polskich emigrantów. Zacny ten i pełen poczucia nietylko patryotyzmu, ale i ludzkości człowiek, niezmordowanie broni emigrantów od wyzysku i wszystkie możliwe ułatwienia, nawet wolne przejazdy do granicy udziela. Dowiedziawszy się, że policya chce tych 400 chłopów do Galicyi zawrócić, pobiegł do ekscel. posła Zalewskiego i prosił na miłość Boga, aby który z deputowanych poszedł na dworzec. Eksc. Zalewski był chory, a żadnego z posłów polskich naturalnie w sali nie było. W każdym razie p. Zalewski zajął się tą sprawa o tyle, że wyjednał u Badeniego, aby natychmiast chłopów puszczono w dalszą podróż. Badeni poszedł dalej, bo zatelegrafował do konsula w Genui, aby się losem emigrantów zajął i ten wyrobił znowuż u rządu włoskiego, że ich zaraz do Brazylii wyprawiono.

Na dowód, co p. Rutowski rozwiązaniem Tow. śgo. Rafała narobił, przytaczam autentyczny list p. Tokarskiego z Warszawy, który już był w Brazylii, tam się czegoś dorobił, i teraz po raz drugi z matką, żoną i dziećmi powraca:

„Szanowny Panie! Od dwóch dni przebywamy w Genui, gdzie z wielką trudnością zawdzięczając li tylko staraniom i stosunkom ks. Dudy (księdza, który jako członek tow. śgo. Rafała, ofiarował się tam dla emigr.) zdołałem uzyskać lepsze miejsce na przejazd. Miejsca przewodnika uzyskać nie mogłem, ponieważ kontrakt Gavotiego z kompanią Metropolitana już się skończył, i tych 540 osób, które tu się znajdują, wysyła Gavoti na swoje ryzyko, — tem bardziej, że dzisiaj odebrał telegram, — który sam czytałem będąc u niego z księdzem — od komp. Metropolitana, w którem powiedziano, ażeby poddanych austryackich nie wysyłał. Nie rozumiem co takiego zaszło, że wyłączają austr. poddanych! (prawdopodobnie dalsze następstwa mowy p. Rutowskiego. — Przyp. kor.) Stan naszych wychodzców tu w Genui jest straszny i opłakany, zostają na wszystkie strony wyzyskiwani przez rozmaitych ajentów, za noclegi i życie zdzierają z nich bajeczne sumy, tak że już dwa dni od rana do nocy mamy ciągłą pracę z ks. Dudą z wychodźcami, przy umieszczaniu ich na kwatery i wymianie pieniędzy na liry i na złoto. Cała ta nasza emigracya, o ile miałem sposobność naocznie się przekonać, jest w prost niemożebna i w takich okolicznościach naród się tylko marnuje, traci resztę grosza w Genui i przyjeżdża do Brazylii bez najmniejszych zasobów pieniężnych, przez co bardzo wielu widząc się na obcej ziemi bez grosza, traci chęć do pracy i po zebraniu trochę pieniędzy wraca do kraju w najgorszej nędzy. Inaczej się ma rzecz z wychodźcami włoskiemi. Ci przyjechawszy do Genui mają już przygotowane wszelkie papiery i wyjeżdżają poczekawszy najwyżej 2—3 dni. Przytem nad niemi rozpostarta jest opieka ogromna. Ja miałem czekać do 28. stycznia, gdyż na ten dzień Gavotti chciał mi dać wolny przejazd klasą distinetta, ale żal mi puścić tych biednych ludzi na los szczęścia, bo tu im nic dopomódz nie mogę, ale za to przyjechawszy razem z nimi do Brazylii, może będę mógł coś dla nich uczynić.“

Tyle z słów listu p. Tokarskiego, a może żeby p. Rutowski i wszyscy przeciwnicy emigracyi pojechali do Genui przekonać się, jak traktują tam to bydło, co na nich jako wyborcy w Galicyi głosuje?

Nareszcie Młodoczesi pozbyli się swego najstraszniejszego przeciwnika, namiestnika hr. Thuna! Wywołała ta dymisya w całych Czechach ogromne zadowolenie. Przyjaciele Namiestnika robią w prawdzie w niemieckiem kasynie krzyk, ale nikt go nie słucha. Hr. Badeni szuka teraz gwałtem kogoś na miejsce namiestnika; chciałby, aby to był człowiek z partyi wielkich posiadłości, ale żeby był i Czechem i po czesku mówił, a przytem nie był wstrętny Niemcom czeskim. Trudny to jednak wybór, bo magnatów czeskich zaledwie kilku włada czeskim językiem, a hr. Badeni przyrzekł Młodoczechom tylko takiego Namiestnika zrobić następcą Thuna. Czesi są też obecnie o wiele spokojniejsi i jest wszelkie prawdopodobieństwo, że dalszy ciąg sesyi Sejmowej bez demonstracyi przeminie. W każdym razie z powodu braku czasu, nie przyjdą zapewne pod obrady ani adres do Cesarza, ani sprawy Kuryi narodowych.

Mamy też nareszcie i Ministra dla Galicyi. Mianowano, jak przewidywałem w moich dawniejszych listach, szefa sekcyi dra. Rittnera, Polaka i bardzo uczciwego oraz lubianego człowieka. Odznacza się on wielką pracą i wielkim spokojem, przedewszystkiem zaś wysokiem fachowem wykształceniem prawniczem. Nieoceniony professor uniw. Lwowskiego, lubiany przez wszystkich uczniów i całą publiczność, przyjęty został przez cały kraj z prawdziwą sympatyą na nowem stanowisku. Nominacya przez cesarza nastąpiła już 17. stycznia — wczoraj zaś ją ogłoszono.

Równocześnie z ministrem dla Galicyi, nominowano na nowoutworzoną posadę Ministra komunikacyi — dotąd takiego ministerstwa w Austryi nie było — jenerała v. Guttenberga. Niechętnie widzi się na takiej posadzie wojskowego inżyniera, to też cesarz wyraźnie zezwolił, aby jenerał złożył na czas swego urzędowania mundur wojskowy i tylko w cywilnym ubraniu bywał na sesyach parlamentu.

Nowa reforma wyborcza znowu ludzi straszy. „Narodni listy“ w Pradze, otrzymały i wyjawiły jej tajemnicę, co rząd trochę poirytowało. Dzieło to choć nie zadawalnia nikogo, to przecież może wejdzie w życie. Siedmdziesięciudwóch posłów, którzy wybrani będą na podstawie powszechnego głosowania, zmienią zapewne cały charakter nowego parlamentu.

Twórcą, który opracował nową reformę wyborczą, jest nowomianowany minister dla Galicyi, dr. Rittner. *Xi.*

KRONIKA LONDYŃSKA

dnia 23-go stycznia.

(Kłopoty Anglii. — Depesza berlińska. — Oznaki oburzenia. — Śmierć Stepniaka. — Jego karyera. — Moskale w Londynie.)

Nigdy od czasu wstąpienia na tron królowej Wiktoryi nie znajdowała się Anglia w tak kłopotliwem położeniu jak obecnie, gdy wszystko złożyło się na to, aby zaprawić goryczą świąteczny pudding John Bullowi. Obrót, jaki wzięła sprawa armeńska, przyniósł porażkę dyplomacyi Salisburyego, lecz nie zaalarmował opinii publicznej. Nawet wobec gromkiego wystąpienia prezydenta Clevelanda, w kwestyi zatargu granicznego z Wenezuelą, Anglia zachowała spokojne, wyczekujące stanowisko, przybierając minę zdziwioną dobrze wychowanego dżentelmana, w którego obecności dorobkiewicz zgrzeszył przeciwko formom towarzyskim. Atoli na wieść o niefortunnem wtargnięciu Jamesona w granice rzeczypospolitej Boerów zakłopotał się John Bull, a depesza cesarza Wilhelma do Krügera wywołała ogromne oburzenie. Głęboko zapisała się ona w pamięci wszystkich stanów, a ponieważ anglik nie łatwo zapomina urazy, zatem dużo upłynie wody zanim zatrze się ona w umysłach.

Cudzoziemcy wogóle a niemcy w szczególności nie są w łaskach krajowców, przeważnie z tego powodu, że odbierają chleb swoim. Niemcy zaś mają opinię ludzi pracujących taniej od anglików, a więc psujących ceny. Jest ich zaś w Londynie z górą sto tysięcy. Na tysiąc mieszkańców przypada 22-óch obcokrajowców, a w tych jest większa połowa poddanymi niemieckimi. Wrogie wystąpienie Niemiec, które bądź co bądź uchodziły zawsze za naród przyjaźnie usposobiony, spotęgowało niechęć anglików do nienawiści. W Eastend'zie, dzielnicy zamieszkałej przez tysiące żydów etc., powybijano szyby w kilku niemieckich składach. Na domiar wielu kupców w City powydalało z swych biur niemieckich urzędników a najpotkliwiej odbił się wpływ depeszy berlińskiej na handlu z Niemcami. Transakcye pewnej znacznej firmy niemieckiej, która robiła wielkie interesa w Anglii, w tygodniu po opublikowaniu tejże depeszy spadły o 60% w porównaniu z interesami w roku zeszłym. Jeżeli procent ten przyjmiemy za normę strat innych domów handlowych, to państwo niemieckie stało się skutkiem tego biedniejszem o olbrzymią sumę. Drastycznie charakteryzuje usposobienie anglików do niemców anons pensyonatu, w którym czytamy taki dodatek: „w pensyonacie nie ma niemców“.

W wigilią Bożego Narodzenia zmarł tragiczną śmiercią nihilista i literat Stepniak. Mieszkał on w niezabudowanej dzielnicy Hammersmith. Idąc z rana na zebranie nihilistów, znalazł się na linii kolei żelaznej i, zaczytany w gazetę, nie dostrzegł nadchodzącego pociągu, który go przejechał. Zmarły był w literackich kołach londyńskich dobrze znaną i popularną figurą. Oprócz mnogich artykułów treści politycznej pisywał powieści w językach rosyjskim, angielskim i włoskim. Najpopularniejszą jego pracą jest: Karyera nihilisty. Był on biało-rusinem z krwi, a właściwe jego nazwisko jest: Sergiusz Michałowicz Krawczyński. Przebieg jego życia jest jednem pasmem knowań i spisków, gdyż był on jednym z przywódzców ruchu rewolucyjnego. Od lat szesnastu mieszkał stale w Londynie, gdzie osiadło także dwóch jego dawnych konfratrów: Feliks Wałkowski, naczelny redaktor organu „Free Russia“ i znany anarchista ks. Krapotkin. Czy Stepniak w ostatnich latach zmodyfikował swe przekonania polityczne, trudnoby orzec, ale to pewna, że wyżej wzmiankowane pismo, którego niemal do końca życia był duchem, jest redagowanem w duchu radykalnym, lecz nie propaguje gwałtownej metody działania w Rosyi. Przyczynia się ono niezmiernie do oświecenia ogółu o sprawach wewnętrznych Rosyi i cieszy się protekcyą kilku członków parlamentu.

Kolonia rosyjska w Londynie jest wogóle dość liczną i zalicza kilka osobistości, stojących umysłowo wysoko. Przeważnie naturalnie składa się z wygnańców i politycznych zbiegów. Lecz jest także zastęp osób przyjaznych rządowi petersburgskiemu. Wyszczególnia się z pomiędzy tych pani de Novikoff, która opowiada w salonach i magazynach o Rosyi, jako o jedynym istniejącym na ziemi raju. Stąd cieszy się wysokiemi względami pana hr. T. Stead'a, który agituje gwałtownie za zawarciem sojuszu anglo-rosyjskiego w swem Przeglądzie Przeglądów. Tymczasem jednak Anglia jest od tego tak daleko jak ziemia od Marsa.

Nobody.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Sport i kobiety.

Mężczyźni nasi zdobyli już i zdobywają coraz szersze prawa do sportu. Nie tak jest z kobietami. Przyzwoita panienka i łyżwy, urocze dziewczę i rower — są to zestawienia tolerowane wprawdzie w myślach naszych i w życiu, ale goręcej nie zalecane bynajmniej. Nie w imię ślepego naśladownictwa mężczyzn, lecz w imię cielesnych i duchowych potrzeb kobiety chcemy pomówić tutaj za prawem jej, do ćwiczeń sportowych.

Uczynimy najlepiej, przenosząc się na wstępie od tych przyjemnych rozrywek do tak smutnej umiejętności, jak.... psychjatrja. Posłuchajmy, co mówi znany aljenista angielski, dr. Ch. Mercier, profesor szkoły lekarskiej dla kobiet, o porze dojrzewania chłopców i dziewcząt, która to sprawa w wypadku drugim jest o wiela dłuższa i głębiej wstrząsa ustrojem.

Chłopak, „wynurzając się ze stanu poczwarki, wykonywa w całej pełni czynności wieku męskiego. Poczyna on zarabiać na życie, staje się członkiem społeczeństwa, obywatelem, jednostką społeczną. Jakiekolwiek zasoby sił niezużytych jeszcze i niezaspokojonych pozostają mu po pracy, po nieodzownych i poważnych trudach dziennych — znajdują łatwy i obfity upust na wielu, wielu polach. Może on oddać się obowiązkom wojskowym lub niby-wojskowym (fechtunek), może przedsięwziąć ćwiczenia atletyczne. Straż ochotnicza, rower, wiosłowanie, palant stają się niejako jego drugą sprawą życiową. Może on swobodnie wstępować do różnych klubów i stowarzyszeń, może oddać się szczególnemu jakiemuś badaniu lub zajęciu, nauce albo sztuce i znaleźć w nich ujście dla sił, wytwarzających się w nim tak potężnie i obficie. Całkiem inaczej ma się rzecz z kobietami. Poszczególna działalność ustroju, zaczynająca się w dobie dojrzewania i łaknąca jakiegoś wyrazu zewnętrznego, nie może u nich znaleźć samorzutnego ujścia. Muszą one oczekiwać sposobności. Mogą, co prawda, kochać nieproszone i czynią tak niekiedy, ale nie mogą uzewnętrznić miłości, dopóki się tego nie zażąda od nich, zaś czynność, nie mogąca znaleźć wyrazu, nie jest zaspokojoną. Nie mają one, jak ich bracia, owych licznych a szerokich upustów dla ogólnych czynności ustroju, które w razie swobodnego ich zużytkowania odciągają niejako tak znaczne zasoby działalności organicznej, zniżają napięcie nerwowe wogólności i nietylko zmniejszają pożądanie płciowe, ale tworzą klapę bezpieczeństwa dla energii nerwowej i zapobiegają niebezpiecznemu jej nagromadzaniu. Dla wszystkich tych przyczyn — dla znaczniejszej wielkości i szybkości zmiany, dla mniejszego o wiele upustu, wzmożonej działalności — pora dojrzewania u kobiety jest okresem o wiele większego nacisku, przewrotów bardziej burzliwych, większej podatności do zakłóceń. niż u mężczyzny..- Napad (histerji) jest objawem działalności nieprawidłowej i nieumiarkowanej. Nigdy nie zdarza się on ludziom, wiodącym życie czynne i mającym obfite zajęcie dla wszystkich władz ducha i ciała. Dość często przytrafia się on wśród tych, którzy wiodą żywot próżniaczy, ale najczęściej uderza na tych, którzy są umiarkowanie czynnemi, lecz których czynności są jednostronne, cząstkowe i nie zaspakajają tej lub innej strony ich natury“.

Tutaj więc, jak w tylu innych wypadkach. najwięcej dostaje się nie najpotrzebniejszym, ale tym. którzy wziąć umieją. Wyrok nauki, potępiający tę niesprawiedliwość, jest wyraźny. Potrzeba tylko uprzedzić niedorzeczne albo wykrętne wyroki opinii. Idzie tu o opinię warst średnich niższe mają dość ćwiczeń fizycznych, zarówno dla chłopców swoich jak i dla dziewcząt.

Najoporniejsi powiedzą nam, że prababki nie znały ani rowerów, ani histerji. Na to odpowiemy, iż, przedewszystkiem, prababki wychodziły za mąż w wieku, który dziś nie pozwala jeszcze panience włożyć długiej sukni. Ten jeden fakt mógłby spór rozstrzygnąć. Powtóre, dziewczęta, nie znały dawniej życia pozadomowego, nie uczyły się od dziecka poza domem, nie zarabiały poza domem na życie, zaś w domu miały dużo świeżego powietrza i zajęć fizycznych. Potrzecie, wbrew utartemu poglądowi na rodzinę, jako na gniazdo wszelkich cnót społecznych, należy raz zrozumieć i uprzytomnić to sobie, że rodzina nietylko składa

społeczeństwo, ale i sama kształtuje się i układa pod jego potężnym wpływem. Jakiekolwiek są zmiany w naszych dzisiejszych stosunkach rodzinnych, — zmian tych zażądała od nich sama społeczność; jakiekolwiek nowe cnoty, nieznane dawniej, wytwarzają się u domowego ogniska, — cnót tych wymaga postępujący wciąż rozwój społeczny, a to pod groźbą rozpędzenia na cztery wiatry wszystkich członków rodziny, nie umiejących się do wymagań tych przystosować. Nie zakrzepnięcie w formach nabytych, ale zdolność przybierania nowych postaci jest dla rodziny warunkiem bytu i utrzymania się na stanowisku podwaliny życia społecznego. Zdolność ta wyraża się przedewszystkiem w harmonijnem poddaniu wymagań rodziny wymaganiom rozwoju społeczności, nie zaś naodwrót. W dziejowym pochodzie swoim ludzkość przebywała i takie fazy (wcześniejsze), kiedy całokształt społeczeństwa widoczniej był zależnym od ukształtowania rodziny i takie (późniejsze), kiedy unormowanie małżeńskiego stosunku pomiędzy jednostkami widoczniej zależnem było od innych czynników życia społecznego. Społeczeństwo krępując w ten sposób coraz bardziej społeczne funkcye rodziny — dochodzi do coraz większego uwłasnowolnienia jej czynności bjologicznej: z jednej strony, nietylko normuje ono w sposób dla siebie pożądany, ale wprost bierze na siebie wszystkie prawie społeczne czynności przewodników i przewodniczek rodzin: czynność kapłańską (kościół), wychowanie i wykształcenie potomstwa (szkoły, ochronki), pielęgnowanie chorych (szpitale), prowadzenie spraw majątkowych i zawodowych (syndykaty, *trades-Uniony*), zabawę (kluby), wymiar sprawiedliwości w stosunkach starszego do młodszego (sądy, kolonie poprawcze), z drugiej zaś — społeczeństwo zapewnia w ten sposób coraz większą swobodę działania doborowi miłosnemu, który w okresach innych musiał wysługiwać się wszystkim potrzebom i wymaganiom życia społecznego, tylko nie potrzebie wytwarzania zdrowych i silnych pokoleń nowych. Jeżeli ta potrzeba — młodego zdrowia i siły młodej — dziś gorzej jest czasami zaspakajana, niż dawniej, to dla tego, między innemi, że rodzina dzisiejsza nie przystosowała się do nowych wymagań społecznych. Jednym ze sposobów takiego przystosowania się są właśnie „sporty". Stanowią one środek złagodzenia złych i wyzyskania dobrych skutków owej zmiany, z powodu której młoda panna dłużej niż ongi musi pozostawać panną, tj. gotować się do trudniejszego dziś, niż dawniej, powołania matki i samoistnej obywatelki swego narodu, a jednocześnie musi podlegać warunkom o wiele bardziej złożonym i zakłócającym jej równowagę, pokusom o wiele liczniejszym a dłużej trwającym. Nakoniec stanowią one, jak powiedziano wyżej, sposób zużytkowania i zaspokojenia sił i popędów młodego organizmu, niezaspakajanych przez zwykłą rutynę życia i mogących zagrozić zdrowiu ducha i ciała.

To też tym, którzy i które nie lubią wywodów oderwanych, najłatwiej trafimy do serca mówiąc, że idzie tu o zdrowie i moralność ich córek.

Właśnie ten wzgląd moralności niepokoi wielu. Czy aby lekarstwo nie będzie gorsze od choroby? Ślizgawka, już ci da upust, ale na ślizgawce jest młodzież mężka. Wątpliwość ta świadczy tylko, że wychowanie staroświeckie było łatwiejsze, ale nie usuwa ono bynajmniej nieodzowności sportu dla dziewcząt. Pociągiem trudniej jest kierować, niż biedką, ale nie znaczy to, że należy pozostać przy pierwotnych środkach komunikacyi. Wogóle obcowanie młodzieży płci dwojga jest dzisiaj częstsze i dłuższe niż dawniej: rodzina musi się do tego przystosować. Jednym z najlepszych i najpewniejszych sposobów takiego przystosowania jest odjęcie owemu obcowaniu wszelkiego charakteru dorywczości, ukradkowości i nagłości. Młodzież żeńska i mężka nie powinna składać się z luźnych kupek samczyków i samiczek, spędzanych od czasu do czasu pod czujnem okiem pasterza: musi ona od wieku najmłodszego uczyć się wytwarzać z siebie małą społeczność, mającą własne swe, ściśle obowiązujące prawidła wzajemnej uczciwości, honoru, postępowania. Drugim środkiem pedagogicznym są właśnie owe upusty dla młodej, kipiącej energii, upusty fizycznego zmęczenia, psychicznego zaprzątnienia umysłu treścią zabawy, serca — jej powodzeniem, albo powodzeniem własnem wśród grona współzawodników. W Skandynawii i Stanach Zjednoczonych młodzież przestaje ze sobą od dziecka, „pod okiem" i bez oka odbywa dalekie wycieczki zbiorowe, wyrabiając wspólnie zasady nie chwilowo eleganckiego, lecz stale uczciwego obcowania. Wynik tego jest taki, że nowożeńcy mogą tam coraz częściej stawiać sobie obustronnie wymagania bezwzględnej niewinności przedślubnej. Sądzę, że nasza rodzina patrjachalna, w czasach najlepszych, nie mogłaby marzyć o czemś podobnem. W Anglii i Ameryce kobiety uprawiają sport wszelkiego rodzaju aż do humorystycznego dla nas „strzelania z łuku". Jaki zaś jest związek moralności płciowej mężczyzny z rowerem i wiosłowaniem, niech powiedzą te oto cyfry, prawie niezrozumiałe dla nas: przed kilku laty w liczbie około 1.000 studentów uniwersytetu w Cambrigde znalazło się tylko pięciu takich, którzy nie mogli poszczycić się całkowitą świeżością młodzieńczą. Ku zgorszeniu hipokrytów powiem, że wśród tysiąca naszych panien, wędzonych na wszelkie sposoby w domu, nie zebralibyśmy wspanialszego bukietu niewinności.

B. Darski.

Z estrady i sceny.

Pierwszy symfoniczny koncert.

(24. stycznia rb)

Po dość długiej przerwie podjął na nowo p. Schmidt, kapelmistrz 47. pułku, chwalebną myśl, urządzenia w sezonie zimowym regularnych koncertów symfonicznych. Koncertom tym należałoby i z naszej strony poświęcić nieco uwagi. Nadarza się nam tu najlepsza i w Poznaniu jedyna sposobność zaznajomienia się z literaturą orkiestrową, tak bogatą w wspaniałe i prawdziwie cenne utwory, a możemy poznanie tych utworów osiągnąć bez narażenia kieszeni na znaczniejsze wydatki. Od prawdziwie inteligentnego i wykształconego człowieka wymagamy znajomości nietylko utworów własnej literatury i sztuki, ale również i znajomości cenniejszych dzieł obcego piśmiennictwa i obcej sztuki. Ponieważ zaś literatura orkiestrowa jest nader bogata w pomnikowe dzieła, które najlepiej nam wykazać mogą, postęp sztuki muzycznej, nietylko pod względem rozwinięcia formy, ale także zastosowania nowych idei i środków ekspresyjnych, zatem tem większe zainteresowanie budzić powinien w nas ten odłam literatury muzycznej.

Na program piątkowego koncertu złożyły się następujące utwory: Uwertura do „wolnego strzelca" Webera, Beethovena „Pastoralna symfonia" nr. 6, Glinki, ruskiego kompozytora, Fantazya na tematy ruskie (Kamarinskaja), Serenada Mozarta na smyczkowe instrumenta i I. Rapsodya Liszta. — Orkiestra złożona z muzyków kapeli 47. pułku a powiększona nadto przez wybitniejsze siły innych orkiestr, wywiązała się ze swego niełatwego zadania wcale zadawalniająco. Brzmienie chóru smyczkowego dość zgodne, świadczyło najlepiej o pilnych studyach. Szkoda tylko, że kapela nie rozporządza lepszemi instrumentami, co się w drugich skrzypcach i altówkach najniekorzystniej objawiało. Należałoby także więcej baczyć na czystość stroju, za co już winować należy dyrygenta samego. Niepotrzebnie też uwzględniał p. Schmidt w Serenadzie Mozarta niektóre repryzy, przez co wrażenie utworu, nie odznaczającego się z resztą niczem wybitnie — osłabił. Wielką niespodziankę sprawił p. Schmidt wykonaniem barwnem Liszta I. rapsodyi i Fantazyi Glinki. Oba utwory, obce duchem wykonawcom, zostały mimo to ze zrozumieniem i werwą wykonane. Wykonanie zaś symfonii Beethovena zdradzało gruntowne studya i dążenie chwalebne, tak dyrygenta jak i orkiestry do uchwycenia i przeprowadzenia poetycznej myśli wspaniałego utworu. Beethoven rozumiał i kochał nadzwyczaj przyrodę. W „Pastoralnej symfonii" wyraził swe uwielbienie dla tej przyrody w obrazach pełnych plastyki i poezyi. Umieszczając nad każdą częścią symfonii napis poetyczny, zaliczył sam utwór swój do tak zwanej: muzyki programowej. Zwolennicy tego kierunku w muzyce starają się przy pomocy charakterystycznych brzmień harmonicznych i zwrotów melodyjnych w oryginalnych formach muzycznych przedstawić wprost zdarzenia z życia realnego i duchowego, kierując fantazyę wedle z góry powziętego planu. Wprowadzenie tych zasad do sztuki muzycznej stworzyło niejedno piękne dzieło, a przyczyniło się również niechybnie do powiększenia wyrazistości i pogłębienia całej sztuki. Chodzi tylko o to, aby i bez programu utwór ten budził zainteresowanie i posiadał wartość artystyczną, którą tylko znajomość podkładu poetycznego zwiększyć i zrozumialszą uczynić powinna. W pastoralnej symfonii posiadamy próbny utwór. Bo czy słucham ustępu I. — przebudzenie radosnych uczuć w chwili przybycia na wieś, — czy części II. — scena nad strumykiem, w której kompozytor-poeta tak dosadnio szmer i plusk strumyka, tak wiernie świergot ptasząt i szum drzew oddaje, — czy wreszcie III. części — wesołe zabawy wieśniaków (à la Teniers, Ostade i Brouwer), burza, piosenka pasterska i radosne i reflekcyjne uczucia po burzy, — wszędzie znajduję muzykę piękną i zrozumiałą, nawet bez programowych napisów. A o to właśnie najgłówniej chodzić powinno.

Ryczałtem biorąc, to program piątkowego koncertu był interesujący i pouczający, a nadto nie źle wykonany. I jeśli liczba słuchaczów przybyłych licznie na pierwszy koncert nie zmniejszy się, koncerta te zapewniony będą miały byt i wypełnią wielką lukę w poznańskiem życiu muzycznem.

Na końcu małą prośbę do p. Schmidta mianowicie, aby jeśli już Węgrów i Moskali w swych programach uwzględnia, nie zapomniał także o Polsce. Nasz Moniuszko, Noskowski, Zeleński, Zarzycki i inni napisali piękne utwory na orkiestrę, którebyśmy chętnie poznać chcieli. Tylko proszę zacząć od prawdziwie wartościowych utworów polskich.

Edwin Jahnke.

Na Wyłomie.

(Plotka. Skromne zapytanie).

Plotko! jakich ty cudów dokazujesz na tym ziemskim globie. Szekspirowska fantazya jest w obec ciebie tak nizką jak pióro

moje w obec wieży Eifel. Komedye i dramaty sypiesz jak z rękawa, śmiech i łzy wyciskasz, drżą przed tobą giełdy i domy bankierskie, przeklinają cię matki córek na wydaniu i niejeden kandydat hymenu, ty elektryzujesz śpiące herbatki i obiadki, ty spazmy niesiesz w buduary pięknych mężatek, ty dajesz laur niezasłużony i zdzierasz wawrzyny zdobyte prawdziwą zasługą, ty snujesz cudowne legendy na temat zdrady, miłości, zbrodni, wielkich posagów, tajemniczych testamentów, miljonowych losów, — ty potężna czarodziejka. potężna poetka i potężna zbrodniarka!

Oczywiście w naszym małym światku poznańskim rządko tylko rodzi ta pani wielkie kataklizmy. Tu wszystko małe i proste, — stosunki, interesy, zapasy, — więc i ogromnych zawikłań i dramatów nie snuje chochlik złośliwy, — ale te ciasne ramy życiowe, przesłonięte mgłą monotonii, to właśnie królestwo drobnych komarów ploteczki, tłumnych, namolnych, kłujących. Nigdy prawie nie ranią one śmiertelnie, ale psują humor i pozostawiają często nieznośne swędzenie. A ileż tam rozmaitości, kategoryi, rodzai, gatunków! Handlowe, kawalerskie, balowe... lecz nie o nich chcę mówić. Dzisiejszą pogawędkę poświęcam najpotężnieiszej z plotek: plotce politycznej.

I tutaj należałoby rozpocząć gatunkowanie, lecz lubo jestem wychowańcem szkół niemieckich, mam dziwny wstręt do systematyczności. Obrzydził mi ją gruntownie, jeden z ś. p. profesorów moich, który temu z nas tylko przyznawał numer „celujący", kto każdą dyspozycyę wypracowań swoich przynajmniej na dwanaście podzielił cząsteczek. Na samą myśl o tych szufladach, szufladkach i szufladeczkach dziś jeszcze zimno się robi. Wybaczcie zatem, czytelnicy moi, że pedantycznych 1, 2, 3, i a, b, c. i α, β, γ, nie kładę na czele dyskusyi, lecz pląs feljetonowy zaczynam:

Któż z nas nie pamięta owych czarodziejskich baśni berlińskich, któremi armia ugody karmiła społeczeństwo nasze. W krytycznych chwilach politycznego bankructwa, gdy jedno rozczarowanie po drugiem wieńczyło romans lojalistów naszych z tronem niemieckim i chwiać się zaczęła wiara społeczeństwa i opinia niezręcznych dyplomatów, zjawiała się zawsze na ziemi poznańskiej sensacyjna plotka, rozbrajająca sceptyków i salwująca. na chwilę chociaż, upadający kredyt „Koła polskiego." „Poseł X. miał posłuchanie u Capriviego. Kanclerz był uprzejmym jak nigdy i obiecał wiele. Czekajcie!" — „Piękna pani Y. była na herbacie u cesarza. Najjaśniejszy pan rozmawiał z nią przez dwie godziny, podał jej ramię, uścisnął rękę, szeptał o czarach naszych pięknych polek i o wdzięczności dla polskich obrońców pruskiej marynarki." — „Ks. arcybiskup ma w biurku swojem ustępstwa rządowe. Chwila jeszcze, a otworzy skrytkę i zadziwi naród." — „Poseł Windthorst winszował gorąco Kołu polskiemu rozumnej dyplomacyi." — „Powiedz pan moim polskim poddanym, że jestem z nich zadowolony, — tak mówił cesarz do naczelnego prezesa, gdy gościł w Poznaniu." — No, i tysiące podobnych anegdot krążyło na poznańskiej ziemi, łudząc społeczeństwo, ratując opinię ugodowców naszych.

Zwykle jakiś atom prawdy mieścił/a każda ploteczka, ale rozdymano go tendencyjnie do sensacyjnych rozmiarów, aby olśnić i odurzyć naród. Zresztą taktyka naszych lojalnych marzycieli znalazła pojętnych uczni na warszawskim bruku. Gdy Aleksander III. zamknął oczy swoje, które tak nienawistnie na nas spoglądały, — gdy młody Mikołaj wstąpił na tron rosyjski i jak sfinks tajemniczy stanął przed narodem, znowu zjawiła się lojalna plotka i rozdmuchała drobną iskierkę nadziei w olbrzymie blaski ufności. Jakież to dziwy krążyły wówczas w całej Kongresówce! Stronnictwo „Słowa" i „Kraju" grunt torowało dla ugodowych manifestacyi a narzędziem była mu plotka. Dymisya Pobiedenoscewa, konstytucya dla całej monarchii, miłość cesarza do pięknej Polki, a przez nią do Polaków, — wszystko to krążyło po kraju w akompanjamencie najfantastyczniejszych anegdot. I naród wierzył, łudził się, bił lojalne pokłony a dzisiaj jęczy jak jęczał z goryczą zawodu w duszy.

Tak plotka urabia społeczeństwo i ratuje marzycieli-bankrutów. Lecz nie na tem koniec figlów politycznych, które płatać lubi niebezpieczna pani. W zaciętych bojach partyjnych rzuca ona nieraz jakiś fałsz potworny, na skrzydłach wichrów niesie go po kraju, przekręca programy, dyskredytuje hasła, czerni pisma i ludzi. Czegóż to u nas, a mianowicie w głuchej prowincyi, nie opowiadają o „Orędowniku" i dr. Szymańskim?! Przypominam sobie — było to na wsi, — liczne grono obywateli zasiada do stołu i buduje ojczyznę. Nagle pada słowo: „Orędownik", ktoś zawołał „zdrajca" i dziesięć głosów powtórzyło „zdrajca". Spoglądam, dziwię się, pytam. Wreszcie po licznych wykrzykach i wyzwiskach najgrubszego kalibru dowiaduję się, że „Orędownik" radził głosować raczej na Niemca-Hakatystę, niż na kandydata „ładu i porządku". Protestowałem, lecz pretest mój wiary nie wzbudził. Ktoś tam oświadczył, że czytał artykuł „na własne oczy", — no! i sprawa ubita. Maluczko, a dowiemy się, że dr. Szymański zbiera składki na cele H. K. T. Innym znów razem opowiadano mi jako fakt autentyczny, że jedno z najradykalniejszych w kierunku narodowym pisemek polskich pobiera sute subwencye z kasy rządowej. Tłomaczyłem długo bezsens podobnej plotki, — oskarzyciel jednak dowodził niewzruszenie, że wiadomość ta pochodzi z „najwiarogodniejszege źródła". A cóż dopiero „Przegląd poznański"?! Rumień się Szeherezado, bo w plotce poznańskiej znalazłaś mistrzynię swoją. A łatwowierność ludzka jest u nas tak wielką, że — *risum teneatis amici*, — na biurku moim leży list straszliwy, grożący mi wszystkiemi karami piekła za jakieś okropne artykuły, których nigdy w piśmie naszem oko ludzkie nie widziało. Zaiste, nieraz gdy dowiaduję się, co w tem lub owem „dystyngowanem towarzystwie" ludzie plotą o „Przeglądzie poznańskim" i redaktorach jego, to zdaje mi się, że Ravachol musiałby chyba przed nami ugiąć kolana. Posłuchajcie tylko: „Przegląd powiedział, że skoro słów nie starczy, to stryczkiem wojować będzie". (sic!) „Przegląd drwi sobie z małżeństwa i wolną proteguje miłość". (sic.) — „Przegląd o Wielkopolankach się wyrażał, że to wszystko bez wyjątku „śmieci". sic — „Przegląd powiedział, że odważniejszym jest od Bismarka, bo stary kanclerz nikogo się nie boi prócz Boga, a on się nawet Boga nie lęka"; (sic.) — a w końcu as atutowy: „Przegląd ogłosił założenie nowej sekty na złość ks. Arcybiskupowi." (Au!)

Oto kilka kwiatków, uszczkniętych z cudownej niwy plotkarstwa naszego. Komentarze uważam za zbyteczne i kończę westchnieniem: „Obyście, najmilsi bracia Wielkopolanie, mniej o nas mówić a więcej nas czytać raczyli."

* * *

Skromne zapytanie. Z dzienników poznańskich dowiaduję się, że Bazar poznański, instytucya czysto-polska i przez polskich magnatów kierowana, ofiarował burmistrzowi Wittingowi 100 mr. na ubogich miasta *„z okazyi urodzin cesarskich"*. Wobec tego zapytuję się, ile też Bazar poznański ofiarował na ubogich miasta, *„z okazyi"* stuletniego jubileuszu konstytucyi trzeciego maja, lub „z okazyi" setnej rocznicy Racławic. Natura nie obdarzyła mnie niestety dobrą pamięcią i byłbym bardzo wdzięczny za informacye w tym względzie.

Sulla.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Antisemicka agitacya we Wiedniu wre w całej pełni. Wybory do rady miejskiej odbędą się prawdopodobnie już w przyszłym miesiącu. Antisemici nie wątpią, że powtórnie większość mandatów zdobędą i powtórnie powołają Luegera na urząd nadburmistrza. — W „Deutsche Juristen-Zeitung" radzi niejaki Dr. Staub, aby procesy o obrazę majestatu wytaczać tylko za zgodą kanclerza rzeszy lub ministra sprawiedliwości. — W komisyi budżetowej parlamentu niemieckiego oświadczył reprezentant rządu, że abituryentom nauczycielskich seminaryi przyznanem zostanie prawo do jednorocznej służby wojskowej. Na zapytanie posła Pachnikego odpowiedział dalej, że administracya wojskowa i tym abituryentom, którzy nie mają pieniędzy na utrzymanie się przez rok w wojsku, przyzna prawo do służby jednorocznej. jednak nie będzie im wolno nosić sznurów i składać egzaminów na oficerów rezerwy. — W ubiegłą niedziele odbyło się w Poznaniu poufne zebranie delegatów ruchu ludowego, na którem dyskutowano o palących kwestyach politycznych i organizacyjnych. — Pogłoska o zawarciu rosyjsko-tureckiego przymierza okazuje się fałszywą.

Teatr i muzyka. Na scenie poznańskiej odegranym zostanie 6-go lutego na benefis panny Paszkowskiej dramat Wężyka p. t. „Wanda, córka Krakusa". Będzie to niejako pożegnalny występ ulubionej artystki, która 15 lutego powraca podobno na scenę krakowską. To też wyrażamy przekonanie, że w dniu tym publiczność szczelnie wypełni loże i krzesła, składając wyraźne dowody sympatyi swoich dla talentu, rozwijającego sie tak pomyślnie. — Na benefis pana Knapczyńskiego odegrano na scenie naszej Molierowskiego „Don Juana". Sukces kasowy był znakomity. — beneficyant jednak nie pojął stylu francuskiej komedyi klasycznej i tytułową rolę odtworzył w charakterze farsy nowoczesnej. Pan Wostrowski natomiast w wdzięcznej roli komicznego moralisty, zasłużył sobie na zupełne uznanie. — Na benefis p. Królikowskiego odegrano w czwartek ubiegły przeróbkę z powieści Bałuckiego („Byle wyżej") pt. „Rodzina Dylskich". Beneficyant zabłysnął znowu tym wielkim talentem charakterystycznym, który nieraz podziwialiśmy w grze jego znakomitej. lecz w ostatnich czasach nieco skostniałej. — Trzydziestu ośmiu znakomitych literatów, aktorów, malarzy itd. wydało odezwę, wzywającą do utworzenia międzynarodowego funduszu celem wystawienia dramatu Adalberta Goldschmidta pt. „Gea". — Z byłych artystów poznańskich, goszczących obecnie na scenie łodzkiej, zbierają największe wawrzyny p. Sosnowski i p. Zimajer. Mniej natomiast podoba sie p. Wróblewska. — W warszawskim teatrze Rozmaitości ukaże się niebawem czteroaktowy utwór E. Lubowskiego p. t. „Królewicz" i komedya Jordana p. t. „Wilki i owce." — Warszawski koncert kompozytorski p. Melcera świecił pustkami. Znawcy jednak oddają entuzyastyczne pochwały grze i kompozycyi młodego pianisty.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Abonentka. 1) „Faro" jest wyrazem włoskim i oznacza tyle co latarnia morska. 2) „Altruizm" — wyraz wprowadzony przez Comte'a – oznacza przeciwieństwo do egoizmu, a więc uczucie podporządkujące własne „dobro" dobru innych ludzi. Według Littrego źródło egoizmu tkwi w instynkcie samozachowawczym, altruizmu zaś w przyrodzonem pragnieniu przekazania i mnożenia życia, określanem w niemieckiej terminologii wyrazem „Fortpflanzungstrieb."

P. Myśl Szanownego Pana poruszymy w odpowiednim czasie i stosownem miejscu. Wątpimy jednak, czy zarząd strzegący pilnie swoich praw nieomylności, uwzględni życzenia z obcego wychodzące źródła.

SPROSTOWANIE.

Do poprzedniego numeru wkradły się następujące omyłki: 1) Sztuka Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny" odegraną została na benefis p. Majdrowicza, nie na benefis p. Knapczyńskiego. 2) W artykule „Szkoły ludowe w Rosyi" opuszczono w łamie 3, wierszu 6 z góry, przed wyrazem „seminarzystek' liczbę 800.

Abonentów naszych prosimy o nadesłanie prenumeraty za bieżący kwartał.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.